

Prenumerata wynosi:
Kwartalnie 4 kor. – 4 Mrk. — 1 Rbs. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rbs. 60 kop. Półrocznie 8 kor. – 8 Mrk. 4 Rbs. 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rbs. 20 kop. Rocznie 16 kor. – 16 Mrk. – 7 Rbs. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA I ADMINISTRACYA, KRAKÓW, ZACISZE 7. Nr. TEL. 479.

Redaktor: STANISŁAW LIPIŃSKI.

Główny skład na Królestwo Polskie w Biurze G. Ungra, Warszawa, Aleje Jerozolimskie 78.

Prenumeratę przyjmują Biura **Ungra** w Warszawie, Wierzbowa 8 i Aleje Jerozolimskie 78, oraz wszystkie księgarnie tak w Warszawie jak i na prowincyi.

Numer pojedynczy kosztuje 32 halerzy — 15 kop.

Rok II. Kraków, 23 grudnia 1905 r. Nr. 52.

W noc Bożego Narodzenia.

(Do wiersza na stronie 2).





Z OPŁATKIEM.

Wieść nie do wiary bieży nad światem:
Chrystus Pan przyszedł na świat w stajence
I myśli wszystkie ku Niebu biją,
Łączą się wszystkie serca i ręce
I każdy człowiek z drugim zamienia,
Płynące z duszy szczere życzenia!



Dziś, gdy stoimy w dziejów przełomie,
Kiedy Wolności zorze zabłysły,
Kiedy wypadki w swoim ogromie
Zaszły po drugich wybrzeżach Wisły,
Gdy w gruzy pada zaborcza władza
Gdy nasza Polska dziś się odradza —

My miłujący nasz stary Kraków
I naszą drogą Matkę-Warszawę,
Niesiem życzenia dla współrodaków:
Niech zgasną wkrótce te łuny krwawe,
Niech dzwon zabije na zmartwychwstanie
Ojczyzna nasza z mogiły wstanie!

Redakcya.

W noc Bożego narodzenia.

(Do ilustracyi tytułowej).

Nad Betleemem gwiazdka zabłysła,
Bieży po świecie wieść miła:
Najświętsza Panna w lichej stajence
Chrystusa Pana powiła!

A do stajenki z wszystkich stron świata
Ciągnie lud biedny, roboczy,
Aby widokiem Odkupiciela,
Ucieszyć serce i oczy!

Tu się jednoczą w wspólnej modlitwie
Wszystkie narody i stany
I wszystkie serca zgodnie tu biją
Miłością Pana nad Pany!

Tutaj zanoszą swoje nadzieje,
Swoje cierpienia i ciernie —
A Matka Boża spogląda na nich
Tak słodko, tak miłosiernie!....

Polski robotnik, kiedy nadeszła
Błogosławiona ta chwila —
Czerwony sztandar, sztandar bojowy
Do świętych stóp jej uchyla!

I dumne czoło przed Matką Bożą,
Z całą pokorą uniża,
I w przeświadczeniu świętych tajemnic
Czyni na czole znak Krzyża:

„O! Matko Boża, co obdarzyłaś
Grzeszny ten świat nasz Bogiem,
O Matko Boża! co Opiekuna
Miałaś w stolarzu ubogim, —

Gwiazdo zaranna, wśród mroków świata
Jasnością swą gorejąca,
Spojrz na cierpienia — wejrzyj w niedolę
Czcicieli Twoich tysiąca!

Spojrz na ich mękę, na głód i rany
Zadane przez gnębicieli,
Na męczenników, co śmiercią giną
Z kozackich rąk — w cytadeli!

Osłoń Twym płaszczem wierny lud Boży
Opieką Twą nieustanną,
Bądź dla maluczkich Matką Dobroci,
Najświętsza Maryo Panno!

I miłosierdzie okaż nad nami,
Którzy imieniem Twem żyją,
By nie zwątpili w Boga i Ciebie
Przeczysta Matko Maryjo!"

I przyszedł do tej świętej stajenki
Oracz ojczystej swej niwy,
I bijąc czołem przed Matką Bożą,
Kajał się wieśniak sędziwy:

„I nas zarówno gnębi tasama
Przemocy gnębi niedola!
Puste są spichrze polskiego chłopa,
A pełne chwastu są pola!

Gnębią nas ludzie, chociaż tej samej
Ziemi — Ojczyzny to dziatki,
Biorą włodarze obcego pana
Ostatni grosz na podatki!

I rozgościły się w naszych chatach
Głód, niedostatek i nędza,
Która Twe dzieci — o Matko Boża!
Hen! aż za morze wypędza!...

Uciemiężona przez rząd i panów
Nieszczęsna ziemia krakowska —
Spojrz miłosiernem okiem na chłopa,
O Matko Ty Częstochowska!"

I przyszła do tej świętej stajenki
Uboga niewiasta z Wrześni,
A matka Boża spojrzała na nią
Jakoś serdeczniej, boleśniej.

Dziecko na ręku swojem piastuje,
Bogu żałobę swą czyni,
Chociaż jej ręce wiążą kajdany,
A pruski żandarm jest przy niej.

Bo matce-Polce dzisiaj nie wolno
Przy swoich ojców trwać wierze,
Bo polskim dzieciom rząd zakazuje
Mówić po polsku pacierze.

I tylko smętnym wzrokiem się żali,
W tej ubożuchnej stajence
I zrozpaczone do Matki Bożej
Wyciąga tylko swe ręce.



A Matka Boża ją zrozumiała
Niewiastę w ciężkiej żałobie:
„Wytrwaj w twej wierze — nie trać odwagi,
Bądź wierną — jestem przy tobie!"

I przyszedł do tej świętej stajenki
Pełen zwątpienia i żalu
Żołnierz — kaleka, polski urlopnik,
Który był w bitwie nad Jalu.

„Nie żal mi cierpień, ani się skarżę
Na me kalectwo i rany,
Tylko boleję, że poszło marnie
Tyle krwi naszej wylanej!

W walce o cudze dobro i mienie
Są oto rany i blizny —
Połowa krwi tej by zapewniła
Zbawienie naszej Ojczyzny!

O! Matko Boża! daj biednej Polsce
Wolność w imieniu Chrysta —
Wymódl jej lepszą przyszłość i dolę
Panno najświętsza, Przeczysta!...."

* * *

A matka Boża próśb wysłuchała
Jakby z ołtarza — z stajenki —
I wzrosła w ludziach wiara i miłość
Do Przenajświętszej Panienki....

Konstanty Krumłowski.

Nowy dyrektor II. gimnazyum ruskiego w Stanisławowie.

Praca nad wychowaniem młodzieży, tej podwaliny przyszłości, młodych latorośli żywotnego społeczeństwa, jest i ogromnie zaszczytną i ogromnie trudną. Młodzież bowiem jest jakoby tą gliną, z której rzeźbiarz dobry tworzy arcydzieła, a marny rzemieślnik bohomazy. Pedagog ma w ręku dusze tej młodzieży i od niego zależy ukształtowanie tych dusz, a więc i przyszłość młodzieży, powierzonej jego pieczy, a temsamem przyszłość całego narodu. W wyborze kierowników zakładów naukowych trzeba to bardzo starannie brać pod uwagę i trzeba przyznać, że nasza Rada szkolna krajowa we Lwowie pod tym względem, pod względem wyboru dyrektorów szkół średnich, zasługuje na zupełne uznanie.

Dyrektorem niedawno założonego drugiego gimnazyum ruskiego w Stanisławowie, mianowano dra Mikołaja Sabata. Nominacyę tę powitał cały ogół z wielkiem zadowoleniem.

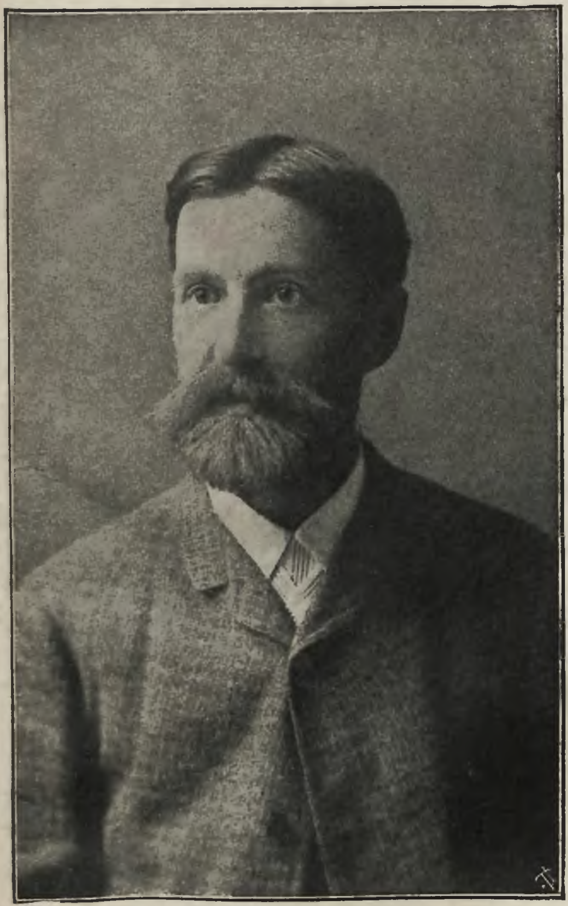
Dr. Sabat od szeregu lat pracował w pierwszem gimnazyum ruskiem w Stanisławowie, jako profesor filologii. Taktownem i wyrozumiałem postępowaniem, zdołał w krótkim czasie pozyskać sobie życzliwość i sympatyę nie tylko wśród swoich uczniów, ale w najszerszych kołach społeczeństwa, zwłaszcza wśród grona kolegów bez różnicy narodowości i przekonań.

Urodzony w roku 1867 w Stanisławowie, gdzie ukończył szkołę średnią, był dr. Sabat jednym z najzdolniejszych słuchaczy znakomitych profesorów lwowskiego uniwersytetu Ćwilińskiego i Kruczkiewicza, pod których kierunkiem oddawał się studyom filologicznym i archeologicznym. Po ukończeniu uniwersytetu rozpoczął pracę pedagogiczną.

Dr. Sabat wzbogacił polską literaturę naukową szeregiem znakomitych rozpraw z zakresu pedagogii i filologii; niektóre z nich wyszły w języku łacińskim. Na stanowisku profesora położył wielkie zasługi, jako pierwszy organizator i kierownik naukowych wycieczek młodzieży polskiej do Włoch. W pielgrzymce, urządzonej w kwietniu b. r. przez arcybiskupa lwowskiego ks. Bilczewskiego, dr. Sabat brał udział jako jeden z kierowników. Ciekawą i pod względem naukowym wielce doniosłą, jest korespondencya dra Sabata z greckim uczonym drem Mikołajem Paulatos z Itaki, w sprawie wykopalisk w Grecyi.

Jako człowiek o szerokim widnokręgu duchowym, daleki od szowinizmu i stronniczości, daje dr. Sabat rękojmę, iż zakład swojej powierzony pieczy, poprowadzi w duchu prawdziwego postępu.

W uzupełnieniu tej sylwetki podajemy obok portret dra Sabata.



Konfraternia kupiecka we Lwowie: Stanisław Markiewicz, były dyrektor, obecnie honorowy prezes konfraterni.

Konfraternia kupiecka we Lwowie.

Jednem z najstarszych we Lwowie towarzystw, jest „Stowarzyszenie wzajemnej pomocy kupców i młodzieży handlowej“. Celem tego stowarzyszenia, statutowo określonym, jest wspieranie moralnych i materyalnych interesów członków, a więc budzenie życia towarzyskiego, pomoc w kształceniu się ogólnem i zawodowem, oraz udzielanie pomocy materyalnej w razie niemożliwości zarobkowania, choroby, starości itp.

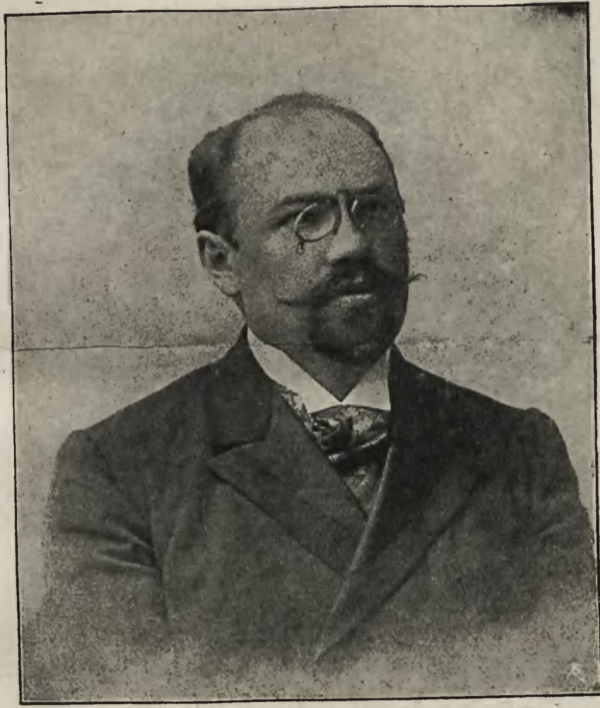
Działalność stowarzyszenia kupców i młodzieży handlowej jest pod każdym względem dodatnia. To też garną się doń licznie i kupcy starsi i młodzież, bo wszyscy znajdują tam pole do pracy i możność spędzania wolnych chwil w towarzystwie kolegów na pogadance, unikając w ten sposób włóczenia się po knajpach i k wiarniach. Do ożywienia stosunków towarzyskich w gronie członków, przyczynia się w znacznej mierze „kółko zabawowe“, oraz „kółko śpiewackie“.

Na czele stowarzyszenia, jako jego dyrektor, stał przez szereg ostatnich lat znany we Lwowie kupiec i obywatel miasta, członek rady miejskiej i wielu stowarzyszeń dobroczynnych, p. Stanisław Markiewicz; w roku zeszłym złożył on kierownictwo z powodu podeszłego wieku i został przez Walne zgromadzenie mianowany dożywotnim honorowym prezesem; w ten sposób dali członkowie wyraz swemu uznaniu dla zasług przez wieloletniego dyrektora położonych. Następcą p. Markiewicza na stanowisku dyrektora towarzystwa, jest p. Julian Abrysowski, współwłaściciel jednej ze znanych we Lwowie firm kupieckich.

W numerze dzisiejszym zamieszczamy portrety pp. Markiewicza, b. dyrektora a obecnie honorowego prezesa towarzystwa i Abrysowskiego, obecnego dyrektora.

Wizyta eskadry angielskiej w Tokio.

W październiku b. r. eskadra angielska z Hong-Kong nawiedziła wody japońskie; była to demonstracya pokojowa, przyjazna, mająca zadokumentować zbratanie się wielkiej Brytanii z państwem Wschodzącego Słońca. Według z góry ułożonego programu, załoga eskadry wylądowała w Yokohamie, poczem osobnemi pociągami udała się do Tokio. Wizyta Anglików nastręczyła mieszkańcom Tokio niejednej sposobności do urządzania najróżnorodniejszych uroczystości, podczas których popularność zawartego przymierza w wspaniałem przedstawiała się świetle. Lampiony i chorągwie o barwach obu narodów, liczne transparenty z napisem: *Welkome!* (witajcie), bogate dekoracye i girlandy, nadawały ulicom stolicy Japonii cechę świąteczną. W parku miejskim Hibija, urządzono kiermasz kosztem miasta, gatunek uroczystości ludowej, podczas którego Anglicy bratali się z bohaterami z pod Cuszimy, nie żałując sobie rozmaitych napojów japońskich i piwa, które płynęło strugami *à discretion* i bezpłatnie. Aby nadać uroczystości cechę jeszcze bardziej serdeczną i swojską, rada miasta nie wahała się powołać całego batalionu gejsz, które zwykle rzadko się pojawiają na ulicach miasta, a w tym wypadku wysilały się na okazywanie bardzo wyraźnej sympatyi dla młodych, oszołomionych przyjęciem przedstawicieli rasy białej.



Nowy dyrektor II. gimnazyum ruskiego w Stanisławowie: Dr. Mikołaj Sabat.

W ten sposób można było widzieć oficerów i majtków z różnokolorowemi chorągwiami w ręku prowadzonych poufale przez powabne, drobne osóbki, nieustępujące swym europejskim koleżanko w wynajdywaniu rozmaitych środków i środeczków, którym żaden mężczyzna oprzeć się nie zdoła. Gościnność japońska posunęła się do granic bardzo dalekich, po wszystkich bowiem ulicach oczekiwały lektyki na tych gości, którzy skutkiem zbyt obfitych libacyj zatracili pojęcie o elementarnych prawach równowagi. Dla moralistów i stróżów dyscypliny nie było w tym dniu miejsca na ulicach Tokio. Politycy za to cieszyli się z tej wymiany czułości. Przy takim ogniu, można będzie upiec niejedną pieczeń, zwłaszcza, podczas gdy niedawno pokonany sąsiad widzi na swoich ulicach całkiem inne mniej pokojowe manifestacye i pochody. Japończycy pokazali Europie, że są nietylko dzielnymi żołnierzami, ale wytrawnymi dyplomatami.

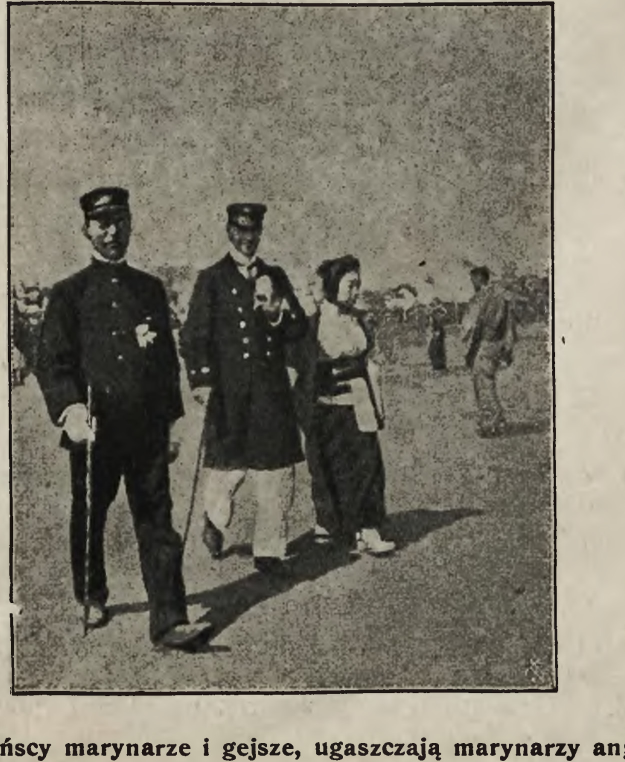


Konfraternia kupiecka we Lwowie: Julian Abrysowski, dyrektor konfraterni.

Nie ulegało wątpliwości, że po tak doskonale prowadzonej wojnie z Rosyą, Japonia jako nowe potężne mocarstwo wpływać będzie w znacznej mierze na ogólną politykę światową, a nawet odegra poważną rolę w koncercie mocarstw europejskich. Wiedziano bowiem, że Anglia, to najpotężniejsze państwo w Europie, sprzyjała Japonii podczaj całej wojny i Anglicy zresztą wcale się z tem nie kryli. Obecna wizyta eskadry angielskiej w Tokio ma ten węzeł sympatyi jeszcze bardziej zacieśnić.

W uzupełnieniu artykułu podajemy poniżej trzy ilustracye z pobytu eskadry angielskiej w Tokio.







Wizyta eskadry angielskiej w Tokio: Japońscy marynarze i gejsze, ugaszczają marynarzy angielskich w parku Hibija w Tokio.

BOJOWNICY.

POWIEŚĆ

osnuta na tle ostatnich wypadków w Królestwie Polskiem.

NAPISAŁ

JERZY SWOBODA.

30 (Ciąg dalszy).

Nie odwracając się, lecz z twarzą rozbawioną, odpowiedziała poważnie:

— Kolega Żalecki ma głos!

— Głodny jestem... proponuję przerwę kilkuminutową.

— Obżarstwo jest grzechem śmiertelnym... sprzeciwiam się.

Bolek zaczął stękać, jęczeć i zamruczał ponuro:

— Nawet w katordze jeść dają.

Olga odłożyła robotę i zawołała:

— A wiecie, z wami pracować, to męka! Kiedyż skończymy? — spojrzała na skrypt.

— Odświeżymy nasze siły i pójdzie raźnie.

— Nie, połowę złóżmy, a potem pozwolę wam już jeść.

— Kto pierwszy skończy, tem ma prawo ucałować, jeśli zechce, rękę drugiego.

— Dobrze, byle nie przeszkadzał.

Pracowali z wielkim pośpiechem. Olga pragnęła widzieć jego minę, gdy zażąda ręki do pocałowania, jak on się będzie wzdragał, cofał; natomiast Bolek chciał mieć prawo ucałowania tych białych rączek z odwiniętemi rękawami.

Minęła dobra godzina, oboje byli zmęczeni, pracując w dusznem, gorącem powietrzu piwnicy.

I niemal równocześnie zawołali oboje:

— Już!

— Musimy sprawdzić, policzmy wiersze — zawołał rozczarowany — to jakaś niejasna sprawa!

— Policzmy, i owszem — powiedziała z udaną obojętnością.

Liczyli dwukrotnie i była ta sama ilość wierszy, pisanych tą samą ręką.

— Znam waszą wspaniałomyślność, szlachetna damo mego serca i pozwólcie ucałować wasze przednie kończyny — śmiał się wesoło.

— Nie wygraliście zakładu... nie wolno.

— Ach, moja najmilsza — pochwycił ją w ramiona i pocałował w usta, których mu bardzo nie broniła, lecz gdy nie ustawały pocałunki, odchyliła się — dosyć Bolku.. udusicie mnie.

— Tylko jeden jeszcze raz... i puszczę.

Nie skończyło się na jednym pocałunku i Olga odsunąwszy go od siebie:

— Wyzyskujecie waszą przewagę fizyczną, to niełaudnie.

— I bardzo nawet... za karę siądę u stóp waszych i kopcie mnie, depczcie...

— A to co nowego? Także barbarzyński pomysł?! Bądźcie przyjemni, grzeczni...

— I pozwolicie się pocałować?

— Nie, Bolku — mówiła poważnie — to niebezpieczna droga. Jesteśmy tu sami, zamknięci zdala od ludzi... nie, nie chcę całowania, nie dotykajcie mnie... proszę was bardzo serdecznie.

— Olgo, moja Olgo — składał ręce do prośby.

— Nałóżcie kaganiec, od czegóż silna wola; sami tak mówiliście do mnie o sobie.

Przeszedł się kilka razy, napił się wody i uspokoiwszy się:

— Już jestem grzeczny — uśmiechnął się

— Ale szczerze? Ale z własnej woli?

— Naprawdę szczerze.

— Jesteście bardzo kochani... a gdzież owo jedzenie?

— Czy głodni jesteście?

— Nie... ale wy skarżyliście się.

— Już przeszedł głód, który zresztą wpływa korzystnie na grzeczność i pokorę.

— Jednak mówicie z przekąsem... niedobry.

— To wbrew woli... ale pracujmy.

Już kończyli, gdy zastukano do drzwi w szczególny sposób, dwa razy ostro, pauza i znów dwa razy.

— To Stach — i poszedł otworzyć.

— Przyniosłem kronikę; ciekawe wiadomości tak co do treści, jak i stylu — podał kilka kartek.

Olga i Żalecki spojrzeli ze smutkiem i z głębokiem westchnieniem, a Olga szepnęła:

— Kiedy skończymy... tyle tego!

— Tak wam się zdaje, poprawiłem, poprzekreślałem — powiedział Stach.

— Ale i dopisaliście — westchnęła.

— A wy dużo zrobiliście?

— Złożyliśmy artykuł — pokazał Bolek.

— Tylko tyle? Już pierwsza!

— Spróbuj sam — rzekł podrażniony Bolek — kładziesz litery, kładziesz, a rośnie jak z kamienia. Nawet nie jedliśmy, a odpoczywaliśmy może pięć minut, czy nie koleżanko?

— Chyba, że nie dłużej.

— Wiecie, koleżanko, teraz zjemy śniadanie, mamy tu trochę wędlin... i praca pójdzie piorunem.

— Z szybkością ślimaka jesiennego — zaśmiał się Stach.

— Chłopiec — zawołał surowo Bolek — a gdzie szacunek dla zecerów?... Masz tam *satz*, zwiąż, odbij szczotką.

— Jakże się to robi, panie zecer? — spytał Stach pokornie.

— Patrz i ucz się, bo co z ciebie będzie?

Przystąpił do deski i zaczął szpagatem okręcać złożony artykuł, który pod naciskiem zaczął się piąć we środku.

— Zepsujecie! Zepsujecie! — zawołała Olga z przerażeniem — trzeba delikatnie, równo..

— Macie wy sznurek, próbujcie.

Związała, ale zbyt luźno, czcionki zaczęły się osypywać

— Źle — odsunął ją Stanisław i sam począł wiązać, prostować, wreszcie przy pomocy drugiego sznurka złożony artykuł trzymał się kupy.

Z wielką uroczystością pociągnięto walcem z farbą, Bolek nałożył papier, Stach przybijał szczotką i zdjęto papier.

Odbicie było tak blade, że nic nie można było odczytać.

Dopiero po trzeciej próbie litery druku stały się o tyle, o ile wyraźne. Olga otrzymała pierwszy egzemplarz i czytając zawołała:

— Ależ u was błędów!... Co słowo błąd, albo nawet dwa.

Żalecki, trzymając odbitkę, nie patrzał na początek, który sam składał, lecz na drugą część i rzekł:

— No, wiecie Olgo, żebyście do tego stopnia źle składali!... Zamiast „rozkazuję", daliście „roz-kuję"... ładny zecer!

— Prawda... źle złożyłam — westchnęła.

— Uspokójcie wasz smutek, Olgo; nigdy nie przypuszczałem, że doprowadzicie po jednej dorywczej lekcyi do takiej doskonałości. Jakże się spracowały te kochane rączki wasze — i ucałował jej rękę.

— Czy naprawdę nie jest bardzo źle? — spytała z uśmiechem.

— Jest nadspodziewanie dobrze, ale, na miłe bogi, nie odurzajcie się dymem pochwał, to szkodzi i wam i mnie.

— Wam? — spojrzała na niego.

— Tak jest, bo widząc waszą wszechstronną doskonałość, tracę poczucie, żeście ziemianką.

— Lecz rodem z aniołów — zaśmiał się Stach — jednak wy szczęśliwi oboje.

— Nie zazdrość grzesznikn!

— A wam, kolego, źle z Heleną?

— I wy już wiecie? — spytał zdziwiony.

— O czem?... że oboje kochacie się? Wiedziałam o tem dawno, jeszcze przed moim przyjazdem do Warszawy.

— No, i ja wiedziałem o was — zaśmiał się Stach.

— Ależ my się nie ukrywamy, że jesteśmy po słowie — powiedziała spokojnie.

— Uczucie uczuciem, ale głód głodem — rzekł Bolek — dawaj jeść Stachu, a my umyjemy ręce w eleganckiej garderobie.

W czasie śniadania Olga, patrząc na zegarek, powiedziała:

— Najpóźniej o pół do trzeciej muszę iść do domu, ale po obiedzie przyjdę prawdopodobnie.

— To nieprzyjemne, Olgo, że jesteście w kurateli, nie macie swobody ruchów.

— Czuję to sama, ale to jest konieczne na razie, aż do pełnoletności. I tak stosunkowo mam dużo swobody.

— I to prawda.

— Gdy przyjdziecie, koleżanko — odezwał się. Stach — klucz będzie w znanem wam miejscu.

— I dobrze uważajcie — ostrzegał Bolek — aby was kto nie spostrzegł idącej do piwnicy... albo wiecie, bądźcie o oznaczonej godzinie, a ja sam stanę na straży; zawsze bezpieczniej.

— Przyjdę o pół do piątej.

— Będę czekał... a teraz do pracy.

— Ja tu niepotrzebny jestem — powiedział Stach, zabierając się do wyjścia — a mam do załatwienia kilka spraw.

Olga, położywszy zegarek na kaszcie, pracowała usilnie, tak samo Bolek, zamieniali tylko kilka słów ze sobą, mimo tego robota szła opornie, niezręcznie i męczyła oboje.

— Już na mnie czas — odezwała się Olga — a nie ruszajcie kaszty, przyjdę i dokończę.

— Na nic wasz wybieg — zaśmiał się — dobrze, jak swoje skończę i wam pomogę, bądźcie pewni.

— Wy zawsze z podejrzeniami — poszła umyć ręce, zdjęła fartuch, a włożywszy kapelusik, podała mu rękę.

— Do widzenia, Bolku.

— Zaraz, muszę was przecież odprowadzić na górny kurytarz — ubrał się w marynarkę na fartuch — albo wiecie, pójdę i ja na obiad, a przy tej sposobności was przeprowadzę przez tę kamienicę.

Wyszli, zamknął drzwi na kłódkę, a gdy byli w połowie kurytarza piwnicznego, posłyszeli kogoś wchodzącego do piwnicy.

— Wracajmy — ścisnął ramię Olgi i szybko szli w głąb, lecz zabrakło czasu na otworzenie kłódki, zabłysło chwiejne światło na początku kurytarza.

Oboje cofnęli się w jak najciemniejszy kącik, przytuleni do siebie.

W kurytarzu ukazała się służąca ze światłem, a za nią pani.

— To niemożliwe, aby już węgla nie było — mówiła pani — chyba tu ktoś kradnie.

— Zobaczy pani sama.

Olga i Bolek wstrzymali oddech. Gdy ich odkryją, narobią hałasu, krzyku, zwrócą uwagę całej kamienicy, że coś dziwnego dzieje się w piwnicach...

Służąca przystanęła w środku kurytarza i otwierała drzwi.

Odetchnęli. Bolek chciał się posunąć do swej piwnicy i otworzyć kłódkę, lecz Olga z obawy spostrzeżenia, wstrzymała go. A stali tak blisko siebie, czuli swój gorący oddech, bicie swego serca i bezwiednie spotkały się ich usta, zawrzała krew młoda, gorąca i pocałunek skończył się z chwilą, gdy pani wyszła z piwnicy, mówiąc głośno:

— Pójdziesz, Julciu, natychmiast do rządcy, niech zamyka drzwi prowadzące do piwnic, a klucz niech będzie u stróża. Napewno zakradają się tu złodzieje, tyle węgla w tak krótkim czasie — westchnęła.

— Pójdę wieczorem, teraz pana rządcy niema w domu, jest w urzędzie.

— Proszę cię, nie zapomnij.

Służąca zamknęła kłódkę, spróbowała, czy trzyma i zwolna wyszły.

— Puść mnie, Bolku... to niegodnie korzystać z niebezpieczeństwa.

— Przepraszam, Oldziu, sam nie wiedziałem, co robię.

— Nie usprawiedliwiajcie się, tylko chodźmy, muszę kapelusz poprawić i pewno suknię poplamiłam.

— Zobaczymy na górze — i szybko szedł naprzód.

Nie było plam na sukni, tylko dosyć ceglanego pyłu, dającego się łatwo strząsnąć.

— Ale co zrobicie, gdy zamkną drzwi wejściowe do kurytarza? — kłopotała się Olga, idąc przez Rynek Starego Miasta.

— Na razie nic nie mogę powiedzieć stróżowi, aby nie obudzić jego podejrzeń... Stach wieczorem zabierze klucz do stróża, pójdzie do ślusarza, dobierze drugi i będziemy mieli własny.

— Może to będzie nawet bezpieczniej.

Gdy Olga przyszła popołudniu, zastała Bolka w pokoju, poprawiającego przyniesione przez Stacha rękopisy.

— Zaczekajcie chwilę, już kończę.

Zeszli do drukarni i spokojnie pracowali. Nadszedł Stach.

— Na szczęście klucz od drzwi wejściowych do piwnic zaginął, przy mnie zabierał ślusarz zamek. Dowiedziałem się, gdzie warstat i zamówię drugi klucz.

— Tylko ostrożnie, bo stróż nie jest nasz — upomniał Bolek, a spojrzawszy na zegarek — za kilka minut przyjdzie Sikora, idź Stachu na górę i w imieniu Buczka sprowadzisz go tutaj.

— Już idę — zniknął za drzwiami.

— Do której, Olgo, możecie zostać?

— Najwyżej do ósmej... muszę iść z wizytą.

— A jutro?

— Jutro środa... rano od ósmej do jedenastej, popołudniu od piątej do siódmej i od ósmej do jedenastej w nocy, a nawet trochę dłużej, bo ciotka w teatrze.

— Hm... za często wchodzicie tu i wychodzicie... to zwróci uwagę.

— Ależ Bolku, na pierwszem piętrze jest magazyn mód; gdybym widziała coś podejrzanego, pójdę na górę.

— Pomysł niezły, ale użyjcie go tylko w koniecznej potrzebie, bo i krawcowa, i te panny poznają was później na ulicy, przy wejściu...

— Skądże was taki strach obleciał? — zaśmiała się — ja się nie boję.

— O was mi idzie. I wiecie, ja który nigdy nie miałem przesądów, dziś, gdy idzie o was, staję się zabobonny.

Zapukano, weszli Sikora i Stach, a zecer, obejrzawszy pracownię:

— Wcale dobra... pracowałem w gorszych.

— Jakto w gorszych? — zdziwiła się Olga.

— Tak, towarzyszko. Byłem już w dwóch tajnych drukarniach. Jedna była w piwniczce tak smrodliwej, że dostawaliśmy zawrotu głowy, a druga pod dachem blaszanym przez czerwiec i lipiec.

— I co z temi drukarniami?

— Odkryto jedną i drugą.

— Złapano kogo?

— Pięciu. Dwóch, którzy bronili się rewolwerami, powieszono, jeden z pobicia zmarł, a dwóch siedzi gdzieś w lochach, ale gdzie, niewiadomo, a byli wszyscy dzielni towarzysze — westchnął.

— No, a wy, towarzyszu? — spytał Stach.

— W czasie aresztowania pierwszej drukarni siedziałem już w śledztwie za inną sprawę, a przy odkryciu drugiej zachorowałem obłożnie i leżałem w szpitalu. Bałem się nawet, czy w gorączce się nie zdradziłem, ale pokazało się, że schwycono roznosicielkę i nie wytrzymała męki.

— A jak sądzicie, towarzyszu — zwrócił się Bolek do ubierającego się we fartuch — czy nasza drukarnia bezpieczna?

— Żeby tak bardzo, to nie. Dobrze, że jest na oczach, gdzie ludzie się kręcą, a znów źle, bo trudno dostrzedz szpiega. Zawsze jednak posłuchajcie rady „Panny"; ten, to ostrożny ptak — uśmiechnął się — z nas każdy był w celi, tylko on jeden wyśliznie się, jak piskorz.

— Wolnym czasem zrobię — mruknął Bolek.

— No, pokażcie mi waszą robotę. Najpierw wy, towarzyszko — podszedł do Olgi — źle stoicie... spójrzcie na mnie... tak trzeba stać, aby widzieć całą kasztę, nie naciągać rąk, nie bardzo kurczyć... i lewa ręka musi jak cień podsuwać się za prawą... hm... brakuje wam wprawy, ale z czasem możecie być niezłym pomocnikiem zecera.

Robił dalsze uwagi, na mocy swego doświadczenia i znajomości fachu.

To samo powtórzyło się z Bolkiem. Następnie obejrzał złożony artykuł, nauczył zesuwania, wiązania, umocowania i spytał:

— Gdzież tytuł gazety?

— Dopiero napisany — podał Bolek kartkę.

— I tytuł dobry i motto ładne. Czy to wy wymyśliliście?

— Nie, to towarzyszka i towarzysz Stach.

— Teraz złożę tytuł... Artykuł Kozaka dziś skończę, to będzie pierwsza szpalta; o unitach druga szpalta; mielibyśmy pierwszą kolumnę gotową. Dużo tam macie nowin złożonych?

Pokazano mu, obliczył i rzekł:

— Przy pilnej pracy możemy skończyć dzisiaj czwartą kolumnę, tak, że jutro może bić maszyna jedną stronę od południa. A maszynista gdzie?

— To ja jestem od kręcenia korbą.

— Hm... wy? Szłoby wam sporniej, gdyby ktoś odbierał i składał wydrukowane arkusze... bo to pięć tysięcy! Ile to czasu stracicie na wzięcie, a ostrożne, bo papier bibułkowy, trzeba następnie zgiąć się, złożyć, wyrównać... Nie macie kogo do pomocy?

— Weź Helenę — doradzał Bolek.

— Ale czy ona się uwolni?

— Na jedno jutrzejsze popołudnie może bez obawy to zrobić.

— Towarzyszu Sikora, będę miał pomocnicę, byle zacząć od jutra w południe.

— Ano, cóż robić? Zabiegnę tu około szóstej, bo aż mi dusza się raduje, że znów puścimy naszą gazetę.

Rozmawiając, ustawił sobie kasztę i właśnie zabierał się do pracy, gdy Olga, spojrzawszy na zegarek, zerwała się:

— Spóźnię się, już ósma! — i szybko zrzucała fartuch, myła ręce.

— Ach, te towarzyszki nasze — śmiał się Sikora — tu aż piecze praca, ale rzuca się ją... dla wizytek... dla teatru... oj, znam ja was, kobiety.

Bolek śmiał się ze zmieszania Olgi, gdyż Sikora przypadkiem wspomniał o wizytach, a na wizytę szła właśnie Olga.

Po wyjściu jej i Stacha pracowali usilnie do godziny jedenastej.

Drugi dzień upłynął spokojnie, a było jeszcze weselej, gdyż od południa przyszła i Helena.

Bolek pilnie obserwował Helenę i jej stosunek do Stacha. Zauważył, że Helena lepiej wyglądała, znikły sińce pod oczami, była jakby zgrabniejszą, ale nie dostrzegł żadnej poufałości ze Stachem, nawet pewne unikanie w dotknięciu rąk, tylko kilka razy pochwycił ich spojrzenia tak jasne i promienne, że zdawało mu się, iż one są odbłyskiem silnego światła.

Mimo pomocy Sikory dwie wewnętrzne kolumny nie zostały skończone tego dnia.

Olga przyszła do domu już około jedenastej w nocy, ciotki nie zastała i czując się zmęczoną, zawołała Sabinkę, aby jej przygotowała łóżko.

Gdy Sabinka otworzyła kanapkę i przyniosła pościel, spojrzała ukradkiem na siedzącą Olgę i zbliżając się, szepnęła cicho:

— Powiedziałabym coś panience, ale musi mi panienka przyrzec sekret.

— Sekret? — uśmiechnęła się — dobrze, Sabinko.



Spojrzała na siedzącą Olgę i zbliżając się, szepnęła cicho: Powiedziałabym coś panience, ale musi mi panienka przyrzec sekret...

— To rzecz bardzo ważna, a panienka dotrzyma sekretu, nikomu ani słowa, bo zgubi mnie panienka.

— Nie powiem, lecz jeśli się boisz, może lepiej nie mów.

— Kiedy muszę powiedzieć, bo ja panienkę kocham, a to idzie o panienkę.

— O mnie?!... Przyrzekam ci, że nie powiem nikomu i słowa.

— Ciszej, panienko... może podsłuchiwać — to mówiąc szybko podeszła do drzwi, otworzyła i zwracając się do Olgi — zaraz przyniosę wodę.

Gdy wróciła z wodą, szepnęła:

— Właśnie otwierał drzwi od salonu.

— Kto taki?

— A któżby? Jan... Otóż, panienko, będzie temu dwa tygodnie... nie... chyba więcej... może szesnaście dni, jestem w sypialnym pokoju jaśnie pani, a drzwi były tylko przymknięte, w tem słyszę głos Jana przy telefonie, w gabinecie jaśnie pana. Myślę sobie, pewno telefonuje z rozkazu, i nic... ale słyszę, że on mówi: Olga Aleksandrówna. U nas, prócz panienki, nikt nie nazywa się Olga, zaciekawiło to mnie, uchylam drzwi lepiej i zaglądam Jan stoi przed telefonem i słucha, a po chwili odpowiada tym paskudnym językiem, dosłownie nie powtórzę, ale rozumiałam, że Olga Aleksandrówna, niby panienka, wróciła ze spaceru z panią o dziewiątej wieczorem i tak było naprawdę, a dziś poszła do modniarki, aż spóźniła się na obiad, tak długo siedziała... i jaśnie pan wyśmiewał się, że jak panienka, albo jaśnie pani wejdą do modniarki, to siłą trzeba wyciągać. Potem znów słuchał i powiedział w końcu: słuszaju, co znaczy po naszemu i słucham i dobrze.

Olga słuchała z wielkiem zainteresowaniem. Odtworzyła w pamięci obraz owego spóźnienia, z powodu, że na Woli nie mogła znaleźć dorożki i czekała na tramwaj. Zatem Jan śledzi ją, ale komu mógł donosić? Chyba tylko Bolcewowi, bo ten wie prawie zawsze, że ona wychodziła.

— Czy to wszystko, Sabinko? — spytała.

— Nie, panienko, jeszcze dużo...

— Czemużeś pani nie powiedziała?

— Nigdy nie śmiałabym mówić jaśnie pani, alboż mi życie niemiłe?

— Przeciwnie, Sabinko, pani byłaby ci wdzięczna za to.

— Już ja wiem lepiej, panienko.

— Więc było mi powiedzieć.

— A przecież zaczynałam w niedzielę, ale panienka spieszyła się gdzieś.. a potem nie miałam już sposobności, aż dopiero dzisiaj.

— Mówże mi dalej, Sabinko, jestem bardzo ciekawa — uśmiechnęła się przyjaźnie.

— Spodziewam się — powiedziała nie bez dumy. — Otóż jak usłyszałam, myślę sobie, nie pierwszy i nie ostatni raz mówisz, będę ciebie pilnowała. I wie panienka, ile razy tylko panienka wyszła i kiedy panienka wróciła, on zaraz do telefonu i donosi, że wiedział szelma, chociaż panienka zamykała swój pokój na klucz, ale to inna historya i opowiem na ostatku.

— I ty, Sabinko, nie wiesz, z kim rozmawiał Jan?

— O to mi szło, ale słucham, a ten zawsze mówi numer dwadzieścia osiem. Ja do spisu telefonów, a tam tylko kancelarya żandarmeryi; domyślałam się już wtedy, ale nic, czekam. Aż tu raz jaśnie pani i panienka idą z wizytą, a mój Jan, po wyjściu, biegnie do telefonu, ja za nim. On mówi po chwili: powiedzie rotmistrzowi, że panie z wizytą u Wiery Mikołajównej. Teraz już wiedziałam, do kogo on telefonuje i dla kogo śledzi panienkę, a jak się dowiedziałam, że panienka nie pójdzie za Moskala, postanowiłam to powiedzieć panience.

— Dlaczegóż nie pani?

— Jeszcze panienka nie rozumie? — zdziwiła się szczerze — przecież jaśnie pani odprawiłaby Jana i powiedziała mu, że dlatego, bo donosił żandarmowi. Na kim mściłby się nietylko Jan, ale ten żandarm? Tylko na mnie. A taki żandarm niema litości, oddałby mnie pod nadzór policyjny, wziąłby mnie do aresztu, alboż to mało naszych zamęczyli? I panienka przyrzekła mi, że nikomu ani słowa nie piśnie o tem.

— I dotrzymam... no, a ta druga historya z moim pokojem?

— Zaraz, tylko obaczę, czy nie podsłuchuje ten szpieg — poszła do drzwi i zajrzała. — Nie, niema go. Otóż, panienko, myślę sobie, że jeśli ty szpiegujesz, to pewno coś majstrujesz w pokoju panienki. C. d. n.



40-letni jubileusz istnienia Towarzystwa rękodzielników i przemysłowców: Tomasz Chęciński, obecny prezes Towarzystwa.

40-letni jubileusz istnienia Tow. rękodziel. i przemysłowców w Krakowie.

Jednostka, choćby nawet najbardziej energiczna i największemi obdarzona zdolnościami, nie zdoła w dzisiejszych warunkach wybić się i pracować z pożytkiem dla siebie i społeczeństwa. Los jej zawisł bowiem od ogółu. Dzisiaj wielki pożytek może przynieść jedynie praca wspólna, kooperatywna, przy której jednostki składać się muszą jako te cegiełki na wielki gmach siły i energii, dającej moc do życia i sposobność do pracy nie tylko sobie, ale nawet innym. Daje się to obserwować zwłaszcza w kupiectwie i przemyśle, gdzie wspólność pracy tak ważną odgrywa rolę i to nie tyle w wielkim przemyśle i wielkim handlu, ile właśnie w kołach mniejszych kupców i mniejszych przemysłowców. Stosunki społeczne tak się dzisiaj ukształtowały, że jedynie wspólna praca, wzajemne wspomaganie się są jedyną tamą ochraniającą małe przedsiębiorstwa od upadku.

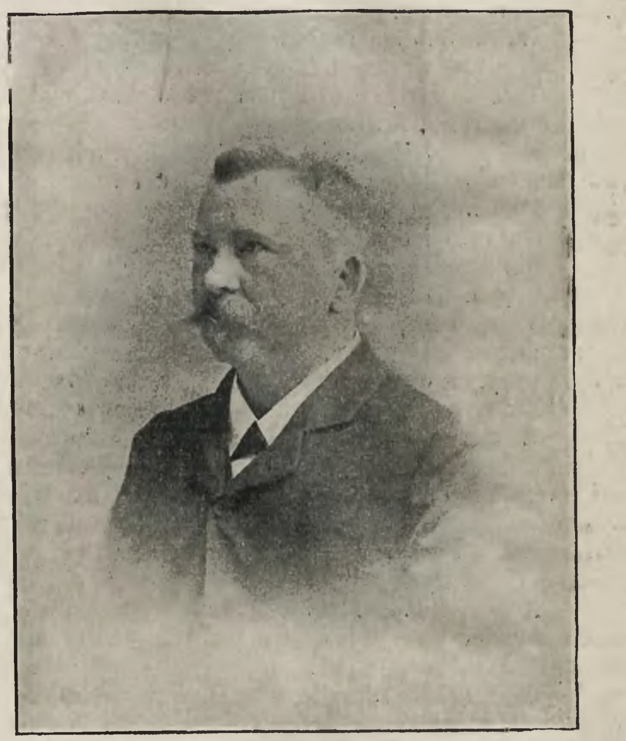
Temi przyczynami powodowane, tą świadomością się kierując, zawiązało się grono obywateli rękodzielników i przemysłowców krakowskich w roku 1848 w korporacyę, której zadaniem było wzajemne wspomaganie się, oparte na zasadzie miłości Boga i bliźniego. Fakt ten, fakt założenia takiej instytucyi „wzajemnej pomocy" był chlubnym dowodem dojrzałości krakowskiego mieszczaństwa, które tak piękną posiada kartę w historyi krakowskiego grodu.

Korporacya ta istnieje do dziś dnia pod nazwą: „Towarzystwo wzajemnej pomocy przemysłowców i rękodzielników".

Aczkolwiek założona w celach ogromnie doniosłych, aczkolwiek z biegiem lat Towarzystwo to coraz bardziej się rozwijało, zyskując działalnością swoją coraz nowe zastępy członków i powszechne uznanie — statut tego Towarzystwa z nieznanych przyczyn zatwierdzono dopiero w roku 1865 w grudniu. Stąd też datuje się faktyczna, na zasadach zatwierdzonego przez rząd statutu oparta, działalność Towarzystwa, o tak szlachetnym podkładzie i celach.

Dnia 11 grudnia 1890 roku obchodziło Towarzystwo pierwszy, dwudziestopięcioletni, a 8 grudnia b. r. 40-stoletni jubileusz chlubnej swej działalności. A działalność to w całem tego słowa znaczeniu godna uznania i w plony obfita. Iluż to rękodzielników i przemysłowców musiałoby było upaść i zmarnieć z braku funduszów, spowodowanych czy to chwilowym zastojem w przemyśle, czy nieprzewidzianemi katastrofami. Towarzystwo rękodzielników i przemysłowców było dla nich jedyną deską ratunku, arką ocalenia. Że jest tak, a nie inaczej, tego dowodem sympatya, jaką się wspomniane Towarzystwo cieszy wśród sfer rękodzielniczych i u ludności Krakowa wogóle.

Zawiązek Towarzystwa wynosił zaledwie tysiąc koron. Dzisiaj majątek jego wynosi blisko 400 tysięcy.



40-letni jubileusz istnienia Tow. rękodzielników i przemysłowców: Radca miejski Karol Markus, zastępca prezesa Towarzystwa.

Pierwszym prezesem Towarzystwa był Franciszek Szpengler, drugim Adolf Siedlecki. Dzisiaj godność tę piastuje powszechnym w Krakowie otaczany szacunkiem p. Tomasz Chęciński, który jednak z powodu podeszłego wieku nie zajmuje się sprawami towarzystwa i godność tę zajmuje



Fotografował E. Pierzchalski, Kraków.

40-letni jubileusz Tow. rękodzielników i przemysłowców w Krakowie: Uczestnicy uroczystości jubileuszowej, zebrani po nabożeństwie przed kościołem XX. Pijarów.

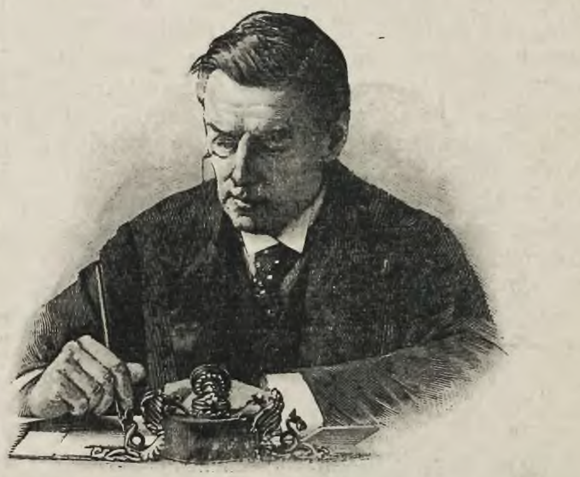
PRZEŁOM W POLITYCE WEWNĘTRZNEJ ANGLII:



J. A. Balfour, premier ministrów angielskich od roku 1902 do listopada b. r.



Lord Salisbury, poprzednik Balfoura na stanowisku prezydenta ministrów.



Joe Chamberlein, głośny angielski mąż stanu.

tylko honorowo. Zastępcą jego jest znany obywatel, radca miejski p. Karol Markus. Lekarzem Towarzystwa jest znany i ceniony młody lekarz krakowski p. Feliks Laberschek.

W uzupełnieniu artykułu zamieszczamy w dzisiejszym numerze fotografie prezesa i jego zastępcy, oraz zbiorową grupę uczestników uroczystości jubileuszowej, zgromadzonych ze sztandarami po uroczystej mszy św. przed kościołem księży Pijarów.

Przełom w polityce wewnętrznej Anglii.

Wspominaliśmy w poprzednim numerze o zmianie gabinetu angielskiego. W polityce wewnętrznej Wielkiej Brytanii, tego najpotężniejszego może dzisiaj na świecie mocarstwa, zmiana gabinetu jest wydarzeniem olbrzymiej doniosłości, tembardziej, że nowy premier ministrów Campell Bannerman reprezentuje kierunek skrajnie przeciwny polityce swego poprzednika. Ster rządów objęli więc dzisiaj ludzie zupełnie inni, o innych przekonaniach i innych zapatrywaniach politycznych, aniżeli ich poprzednicy, co wpłynąć musi stanowczo i doniośle na bieg polityki angielskiej.

Po kilku latach rządów stronnictwa konserwatywnego, na którego czele stał premier ministrów Artur Balfour, przyszedł prawem historycznem do steru gabinet liberalny. Balfour posiadał jeszcze w Izbie gmin dość znaczną większość, jednakowoż musiał ustąpić, a to właśnie z przyczyny wewnętrznych stosunków większości parlamentarnej. Opinia publiczna w Anglii była na dymisyę Balfoura oddawna przygotowaną. Sytuacya Balfoura była bowiem od początku bardzo niekorzystna. Upadł on wskutek polityki tego angielskiego męża stanu, który już kilka obalił gabinetów i kilka rozbił stronnictw, głośnego Joe Chamberlaina.

Gdy po ustąpieniu Salisbury'ego w r. 1902 przewodnictwo w gabinecie objął siostrzeniec Chamberlaina, Balfour, Chamberlain i pod nim zatrzymał urząd ministra dla Kolonii, chociaż już wówczas było powszechną tajemnicą, że boleśnie czuł się dotkniętym tem, iż nie jemu przypadło w udziale stanowisko prezesa ministrów. Dlatego też rozpoczął jawną kampanię na rzecz celu, do którego dążył już oddawna, a którym było wznowienie w Anglii ceł ochronnych i silniejsze połączenie zapomocą tego środka Wielkiej Brytanii z koloniami zamorskiemi. Jak wiadomo bowiem, Anglia prowadzi handel wolny, to znaczy, że niema zupełnie ceł ochronnych, wskutek czego wszystkie wyroby zagraniczne są w Anglii bardzo tanie. To też nie było może kwestyi mniej w społeczeństwie angielskiem popularnej, jak właśnie kwestya ceł ochronnych i trzeba było człowieka o żelaznej rzeczywiście woli i nieustraszonej odwadze, jaką miał właśnie Chamberlain, ażeby się podjąć propagandy na rzecz tej kwestyi. Balfour odrazu zrozumiał, że propaganda ta grozi gabinetowi katastrofą, nie chciał jednak zrobić sobie z Chamberlaina zaciekłego wroga i dlatego zajął w tej sprawie stanowisko pośrednie. Dzięki temu właśnie utrzymał się przy sterze przez trzy lata blisko, ale ostatecznie Chamberlain dopiął swego, propaganda jego wydała takie owoce, iż Balfour musiał ustąpić.

Gabinet nowy, jaki niedawno przyszedł do steru, nie będzie jednak miał również silnego oparcia. Stronnictwo bowiem liberalne cierpi również na rozterki wewnętrzne. Sprawa samorządu Irlandyi, jedna z najważniejszych kwestyi parlamentarnej doby bieżącej w Anglii, spowodowała rozdźwięk między przywódcami, t. j. między dzisiejszym premierem, a innymi politykami stronnictwa lieberalnego.

W uzupełnieniu artykułu podajemy obok portrety Salisbury'ego, Balfoura i Chamberlaina.

Dar dla wiceprezydenta Korytowskiego.

Wiceprezydent dyrekcyi skarbowej p. Witold Mora Korytowski ma jednak szczęście. Bo choć kraj cały narzeka nań z całego serca, choć ze wszystkich stron podnoszą się przeciw niemu i przeciw jego działalności nieustanne skargi, rząd centralny nie skąpi mu uznania i przyozdobił niedawno pierś jego orderem, a teraz podwładni jego, urzędnicy podatkowi z całego kraju, sprawili dlań „z wdzięczności“ wspaniałą kasetę, zawierającą pamiątki z miejscowości, w których się mieszczą urzędy podatkowe. Jest to mianowicie zbiór pergaminowych arkuszy z widokami rozmaitych miejscowości Galicyi, oczywiście tych tylko, w których nieba usadowiły „prześwietny *sztajramt*“.

Karton tytułowy kasety malował prof. Tadeusz Rybkowski, projekt zaś samej kasety wykonał prof. Julian Bełtowski w stylu swojskim, ludowym, a wykonał go z wielkim smakiem artystycznym, tworząc całość wprost niepospolitą. Na pokrywie kasety umieszczony jest herb rodziny Korytowsich, „Mora“.

Wręczenie tego prezentu odbyło się w ubiegłą niedzielę w uroczysty sposób.

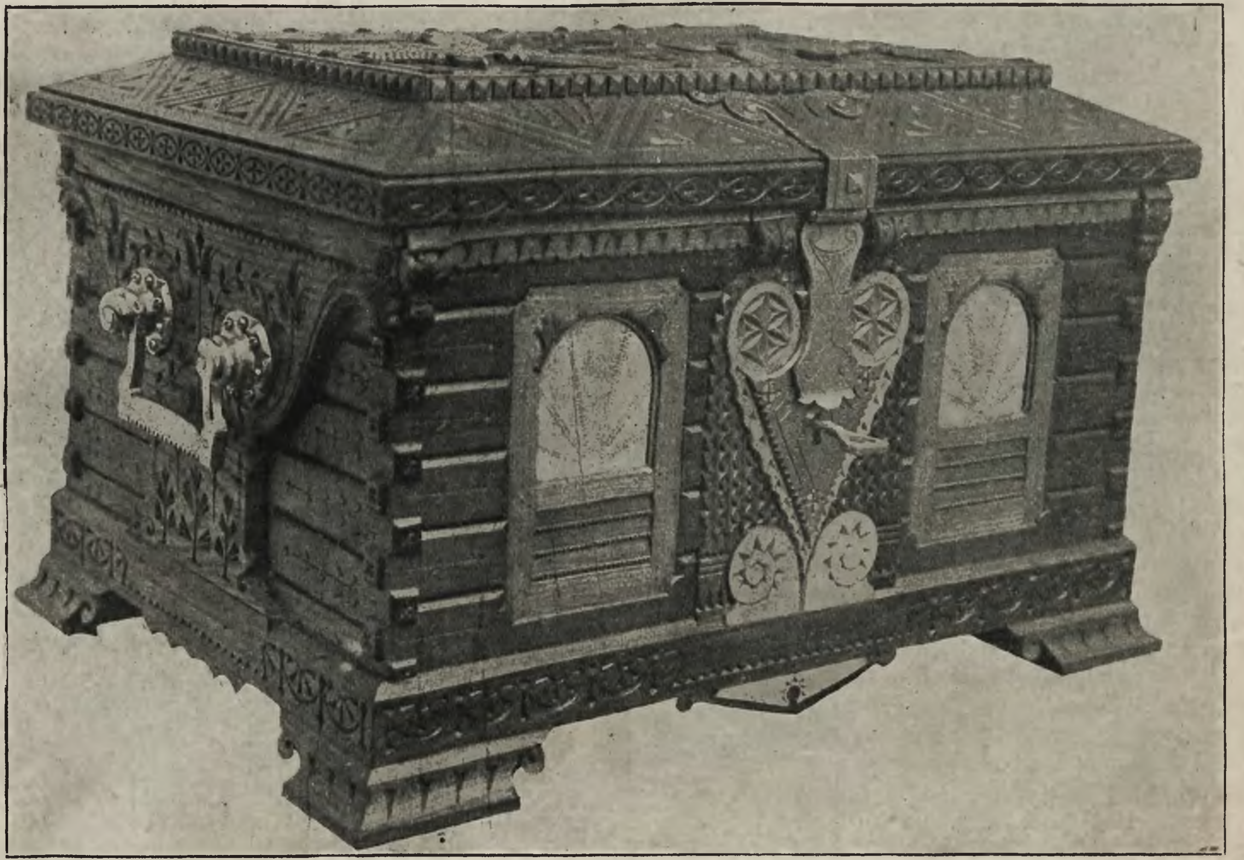
W numerze dzisiejszym podajemy w uzupełnieniu niniejszego artykuliku zdjęcie fotograficzne ofiarowanej p. Korytowskiemu kasety.

Przyszła królowa hiszpańska.

Młodziutki władca Hiszpanii, Alfons XIII. wybrawszy się w tym roku w podróż po Europie, zawitał również do Anglii, gdzie i ze względów przyjaźni, łączącej dwór angielski z hiszpańskim i ze względów politycznych, znalazł nadzwyczaj serdeczne przyjęcie. Bawił też w Anglii znacznie dłużej, aniżeli gdzieindziej, spędzając czas na łowach i zabawach, tak, że nawet w prasie ten za długi nieco pobyt na ziemi brytańskiej wywołał pewne zdziwienie. Okazało się jednak wkrótce, że przedłużenie pobytu króla w Anglii spowodowały nie względy polityczne, nie jakieś dyplomatyczne zawikłania, ale — uczucie miłości, jakie zakwitło w sercu młodziutkiego władcy. Alfons XIII. będąc królem, nie przestał być człowiekiem, do tego człowiekiem młodym, w którym wrze i kipi gorąca krew południowa. Uległ więc temusamemu uczuciu, jakiemu ulegają wszyscy ludzie — zakochał się.

Na ziemi angielskiej poznał się Alfons XIII. z księżniczką Wiktoryą Eugenią Battenberską. Młodziutka, dziewiętnastoletnia księżniczka, obdarzona wspaniałą urodą i wdziękiem, nie mogła nie wywrzeć wrażenia na również młodym, bo o rok zaledwie od niej starszym, władcy Hiszpanii, który poddał się urokowi nadobnej dziewicy. Alfons XIII. odrazu się zakochał i przez to samo pokochał Anglię, w której byłby już na zawsze pozostał, gdyby obowiązki nie kazały mu wracać.

Księżniczka Wiktorya Eugenia urodziła się w roku 1·87 w Balmoral, jako córka księcia Henryka Battenberskiego, zmarłego w roku 1896 i Beatryczy, księżnej wielkobrytańskiej i irlandzkiej, córki najmłodszej siostry króla Edwarda VII. Wdowa po księciu Henryku, matka księżnej Wiktoryi, przebywa w zimie w Londynie, lato



Fotografował M. Münz Lwów.

Dar dla wiceprezydenta Korytowskiego: Kaseta, ofiarowana przez urzędników podatkowych Eks. Korytowskiemu, wykonana przez prof. Juliusza Bełtowskiego.

zaś spędza w swej willi Osborne na prześlicznej wyspie Wight. Narzeczona króla Alfonsa XIII. odziedziczyła po swej babce, królowej Wiktoryi, kilkomilionowy majątek, który dla młodego Burbona będzie zapewne miłem wianem, jakie mu wniesie nadobna małżonka. Naturalnie, małżeństwo to będzie miało i wielkie polityczne skutki, spowoduje bowiem znaczne zbliżenie się Wielkiej Brytanii do Hiszpanii, a zbliżenia tego życzy sobie z pewnością Hiszpania.

Oficyalne zaręczyny Alfonsa XIII. nie zostały dotychczas ogłoszone. Wynikło to stąd, że przyszła królowa Hiszpanii jest wyznania anglikań-



Przyszła królowa hiszpańska: Księżniczka Eugenia battenberska, narzeczona króla Alfonsa hiszpańskiego.

skiego, a arcykatolicka Hiszpania nie przyjęłaby jej jako swej władczyni, gdyby nie zmieniła wyznania. W tym celu poczyniono już kroki w Watykanie, który przeznaczył księdza Whitmee, spowiednika włoskiej królowej wdowy Małgorzaty, na nauczyciela młodej księżnej w nawracaniu jej na katolicyzm. Kiedy księżniczka przyjmie chrzest, zaręczyny jej przestaną być tajemnicą.

Sokół konny we Lwowie.

Jazda konna należy do najpiękniejszych, do najszlachetniejszych i najhygieniczniejszych sportów. Uprawiano też ją w Polsce od najdawniejszych wieków, a jazda polska, huzarya i ułani, były zawsze chlubą wojsk polskich. Z czasem jednak, gdy stosunki ekonomiczne i społeczne zasadniczej uległy zmianie, gdy miasta stały się środowiskiem życia, sport ten upadł i zanikł prawie zupełnie.

To też nie małą jest zasługą „Sokoła", iż w miarę możności, dąży do zakładania przy swoich gniazdach oddziałów konnych, których celem jest nauka jazdy konnej i szerzenie zamiłowania do tego pięknego sportu.

Jednym z nielicznych dotąd takich oddziałów, a bardzo pięknie się rozwijającym, jest oddział konny Sokoła lwowskiego. Zawiązał się on w roku 1892. Pierwsza ujeżdżalnia oddziału mieściła się przy ul. Karmelickiej, następnie po jej zburzeniu przeniósł się oddział do ujeżdżalni przy ul. Wuleckiej, od roku 1903 zaś, t. j. od czasu wybudowania wielkiego boiska sokolego przy ul. Łyczakowskiej, mieści się tam i ujeżdżalnia. Jest ona zbudowaną według wszelkich najnowszych wymogów techniki i oświetlona lampami żarowemi „Znicz", o sile 700 świec. Prócz ujeżdżalni znajduje się tam stajnia na 20 koni, które są własnością towarzystwa. Nauki jazdy konnej udzielają rano i popołudniu dwaj fachowi nauczyciele, a biorą w niej udział nie tylko członkowie Sokoła, ale i szersza publiczność. Zwłaszcza w lecie, ruch w ujeżdżalni jest bardzo ożywiony.

Członków liczy oddział konny Sokoła lwowskiego 112. Na czele stoi jako przewodniczący adwokat dr. Włodzimierz Godlewski, zastępcą jest prof. uniw. dr. Balasits, sekretarzem i „przybocznym" prezesa adw. dr. Artur Till.

Oddział konny występuje publicznie rzadko i tylko w ważniejszych chwilach, stanowiąc wspaniałą ozdobę pochodów i uroczystości. We Lwowie widzieliśmy ten oddział w czasie dwu zlotów ogólnych, oraz w dniu odsłonięcia pomnika Mickiewicza.

W dzisiejszym numerze podajemy zdjęcia fotograficzne grupy członków zarządu oraz prezesa oddziału dra Godlewskiego.



Fot. T. Bahrynowicz Lwów.

Sokół konny we Lwowie: Prezes oddziału konnego dr. Włodzimierz Godlewski.

Statek powietrzny hrabiego Zeppelina.

Aeronautyka dynamiczna, mimo częściowych powodzeń, osiągniętych przez licznych badaczy, jak dotychczas w słabym pozostaje zawiązku. Możność nadania statkowi powietrznemu dowolnego kierunku, to zagadka, rozwiązana w pewnej części teoretycznie, jednak bez ścisłego znaczenia pod względem praktycznym. Horatio Philipps, Maxim i Lébaudy najznaczniejsze w tym kierunku położyli zasługi. Usiłowali oni cel swój osiągnąć za pomocą maszyn i przyrządów, bez użycia ciał od powietrza lżejszych.

Do stosunkowej doskonałości zbliżony jest statek napowietrzny generała hrabiego Zeppelina, na którym tenże usiłował w roku 1900 po raz pierwszy odbyć wycieczkę. 30 listopada r. b. ponowiona przez niego próba, żywo zajmuje świat cały. W dniu tym statek powietrzny osiągnął szybkość $7^1/_2$ metrów na sekundę, cała zaś podróż trwała półtorej godziny. We wnętrzu statku znajdowali się prócz hr. Zeppelina, inżynier Durz, Krogle i znany podróżnik afrykański Eugeniusz Wolf.

Statek poruszany jest za pomocą dwóch maszyn benzynowych, o sile 170 koni. Długość wynosi 120 mtr., średnica 11 mtr. W rezerwoarze pomieścić się może 700 klg. benzyny, co umożliwia dłuższe trwanie podróży, niż przy próbach, dokonywanych dotychczas np. przez Lébaudy'ego. Podczas ostatniej próby, z jednej strony z powodu zbyt silnego wiatru, z drugiej zaś skutkiem niefunkcyonowania przedniego steru, statek długo nie mógł się wznieść w powietrze i dopiero po ciężkich wysiłkach udało się wykonać kilka ruchów w lewą stronę, poczem statek szybował przez półtorej godziny i tylko wskutek spóźnionej pory przerwano próbę, która w dziedzinie żeglugi powietrznej pozostawi wielce pożyteczne ślady.

Charakterystycznem objawem jest, że ogół stawia w kwestyach wynalazków aeronautycznych zbyt wygórowane żądania, nie bacząc na to, ile trudności przezwyciężyć trzeba, zanim się na tem polu dojdzie do względnie zadawalniających rezultatów. Życzyć należy energicznemu hrabiemu powodzenia w jego mozolnych staraniach około wynalazku, którego udoskonalenie wywoła przewrót w stosunkach komunikacyjnych.

W uzupełnienie artykułu podajemy w dzisiejszym numerze fotografię statku hr. Zeppelina przed wzlotem.



Fot. T. Bahrynowicz, Lwów.

Sokół konny we Lwowie: Zarząd oddziału konnego.

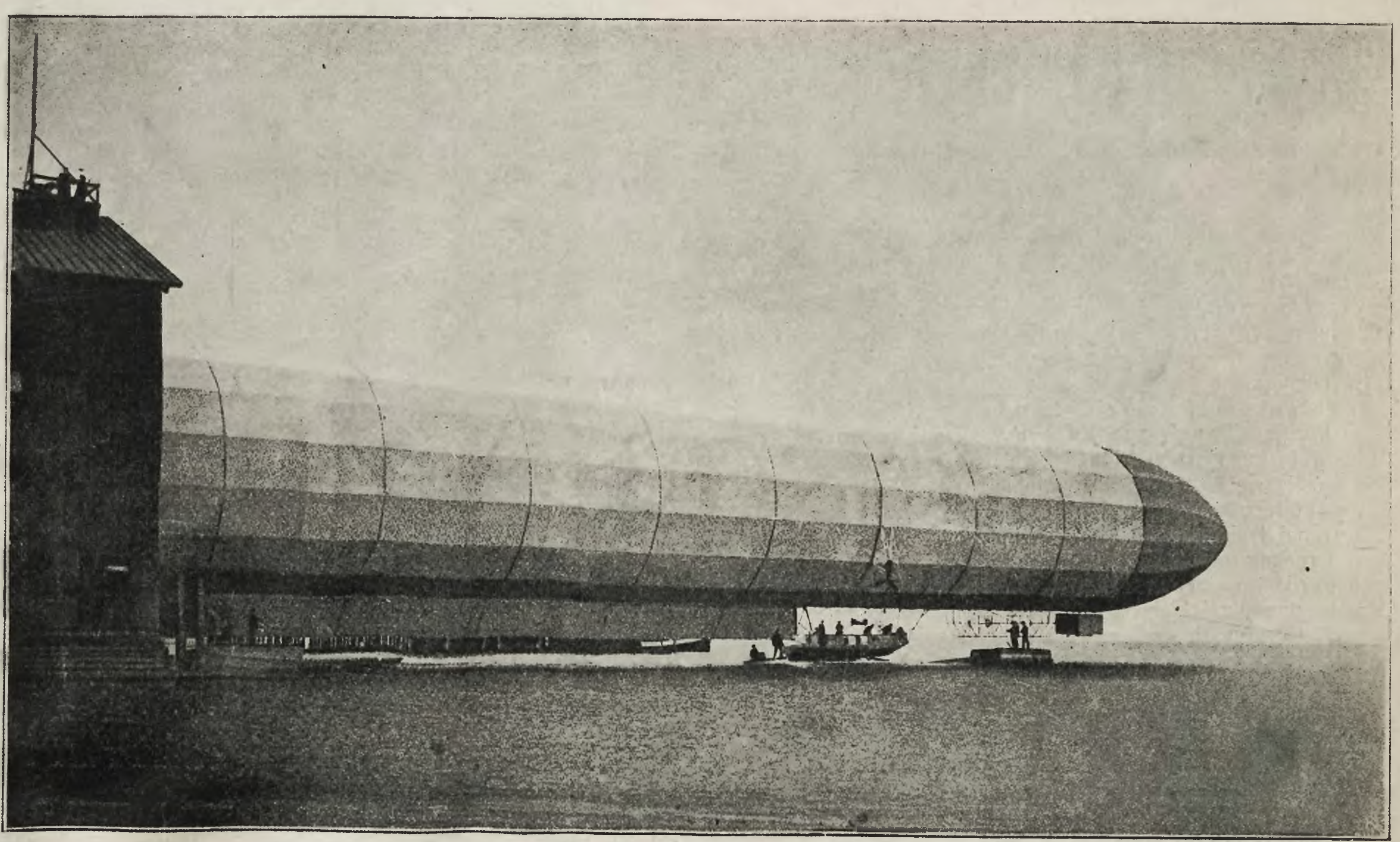
Strejk pocztowy w Rosyi.

Po strejku kolejowym, który wskutek swoich szalonych wprost rozmiarów całą Rosyę poprostu przyprowadził do ruiny, wyrządzając państwu niepowetowane szkody, przyszła kolej na strejk pocztowo-telegraficzny, niemniej groźny, jak poprzedni, bo odcinający Rosyę w zupełności od styczności ze światem. Poprostu trudno sobie w państwie nowoczesnem wyobrazić coś bardziej strasznego, jak przerwanie komunikacyi czy to kolejowej, czy pocztowej i telegraficznej. Koleje, poczta i telegraf są bowiem najważniejszemi arteryami organizmu państwowego. Z chwilą zamarcia tych arteryi, cały organizm państwowy żyć przestaje.

Strejk pocztowo-telegraficzny, taksamo jak strejk kolejowy, zaczął się w Moskwie. Ma on podkład ekonomiczny, taksamo jak i tamten, ale ma również i podkład społeczny. Dość wspomnieć, że w ręku rewolucyonistów strejk kolejowy czy pocztowy jest najsilniejszą bronią, przeciw której niema poprostu

siły, aby mogła wyjść z takich zapasów zwycięsko. Z chwilą rozpoczęcia się strejku pocztowego i telegraficznego, rząd znalazł się w Petersburgu jakby na jakiej zupełnie od świata odciętej wysepce, — pozbawiony wszelkich wiadomości z całego państwa, niewiedzący, co się w tem państwie dzieje. Wobec tego nie mogąc nawet w jakikolwiek sposób starać się o zgniecenie rewolucyi, jaka w całem państwie do dziś dnia goreje, jest zupełnie bezradny.

Usiłowano wprawdzie zastąpić w większych przynajmniej miastach Rosyi personal strejkujący wojskiem, ale i to się nie na wiele przydało. Ruch pocztowy i telegraficzny jest tak skomplikowany, że z chwilą, gdy jedno kółko z tej ogromnie złożonej maszynie się popsuje, odczuwa to cała maszyna; cóż dopiero mówić wtedy, gdy strejk ogarnął całą Rosyę? Żołnierze, choćby nietylko z obawy, ale w najlepszych chęciach pracowali, nie zdołają pomimo wielkiej ich liczby podołać nawałowi pracy na poczcie i przy telegrafie. Do tego trzeba wprawy, trzeba gruntownej znajomości rzeczy, której żołnierze, choćby to nawet byli gwardziści, jak w Petersburgu, gdzie nimi chciano zastąpić personal strejkujący, nie mają i mieć nie mogą.



Statek powietrzny hr. Zeppelina: Ulepszony przez hr. Zeppelina balon do sterowania przed wzlotem.

Szkody, jakie ten strejk wyrządzi państwu, są wprost nie do obliczenia. Takie odcięcie całego państwa od świata przez dwa dni tylko, dałoby się już we znaki; cóż dopiero, gdy to odcięcie przewleka się na kilka tygodni, a liczba strejkujących zamiast maleć, wzrasta z dniem każdym.

Ta bierna rewolucya ma w sobie jakiś olbrzymi majestat grozy i potęgi. Wprawdzie nie leje się krew na ulicach i barykadach, wprawdzie trupy nie zaścielają tak ulic, jak dawniej, ale przecie w domach, w rodzinach strejkujących szerzy się głód i głód ten z dniem każdym wzrasta, nie kule kozackie to głód zabiera codziennie setki ofiar. A mimo to wszystko strejk trwa dalej. Zaiste, tytaniczne to zapasy!

W uzupełnieniu artykułu podajemy obok ilustracyę, przedstawiającą żołnierzy gwardyjskich, pełniących służbę pocztową na dworcu w Petersburgu.

Zamordowanie Sacharowa.

W chwili, kiedy cały naród rosyjski ostatnie wytężył siły do walki o wolność, dała znak życia jeszcze raz „bojowa organizacya“; jak zwykle znakiem tym był huk strzału. Nie dawno bowiem doniosły dzienniki, że były minister wojny generał Sacharow, został w Saratowie zabity przez jakąś kobietę. Wiadomość ta musiała w Moskwie i Petersburgu wśród naczelników reakcyi wywołać popłoch nielada; była ona dowodem, że „bojowa organizacya“, która już tyle wybitnych osobistości samodzierżawia zgładziła ze świata, nie spoczęła na laurach, ale trzyma się ściśle swego programu i ciągle jeszcze śmiercią karze swych gnębicieli.

Generał Sacharow, ostatnio generał-gubernator saratowski, był postacią przez naród, a przez rewolucyonistów zwłaszcza, wskutek swojej surowości i okrucieństwa nawet w pewnych razach, wprost znienawidzonym. W ubiegłym tygodniu zgłosiła się doń pewna kobieta na audyencyę i uzyskała ją. Sacharow otoczony był swoim przybocznym sztabem. Kobieta z początku ustnie przedstawiała mu swą prośbę, wreszcie podała mu pismo, w którem ta prośba była szczegółowo, a zwięźle streszczoną. — Sacharow zaczął pismo czytać, otaczający go sztab zwrócił się ku niemu, a wtedy kobieta szybkim ruchem wyjęła z sukni rewolwer i dała trzy strzały, które Sacharowa na miejscu położyły trupem. Korzystając z chwilowego zamięszania, jakie na sali powstało, zabójczyni rzuciła się do ucieczki, ale ją schwytano i uwięziono.

W śledztwie okazało się jednak, że zabójczynią Sacharowa nie była wcale kobieta, ale młody mężczyzna, który, mając rozkaz zgładzić generała, a nie mogąc tego w inny sposób dokonać, przebrał się za kobietę i w przebraniu tem zdołał dotrzeć do Sacharowa. Naturalnie, za zamordowanie generał-gubernatora czekała rewolucyjnego młodzieńca śmierć, albo długoletnia katorga.

O ile jednak władze rosyjskie są nadzwyczaj przebiegłe w śledzeniu za rewolucyonistami i innymi t. p., o tyle nie dorosły zupełnie do tego, aby dorównać rewolucyonistom pod względem sprytu i przebiegłości. Wysyłając młodego człowieka przeciw Sacharowowi, bojowa organizacya z góry zapewniła mu bezpieczeństwo. Jeszcze bowiem nie przebrzmiały echa strzałów, od których padł Sacharow, a już rewolucyjne pisma doniosły, że zabójca jego zdołał się wydostać z więzienia, co więcej, że znajduje się już w bezpiecznem miejscu, gdzie mu już władze rosyjskie nic zrobić nie mogą, t. j. w Rumunii. Władze rosyjskie o tem milczą; my jednak nauczeni tylokrotnem doświadczeniem, nie mamy powodu nie wierzyć rewolucyonistom. Rząd rosyjski jest już dzisiaj tak słaby, że rewolucyoniści zawsze w walce z nim są górą.

W uzupełnieniu artykułu podajemy obok portret zamordowanego Sacharowa. Dosięgła go ręka tych samych rewolucyonistów, których on ta gnębił i prześladował przez tyle lat.



Strejk pocztowy w Rosyi: Ładowanie przesyłek pocztowych do pociągu na dworcu petersburskim pod eskortą wojskową.



Zamordowanie Sacharowa: Generał Sacharow, zastrzelony przez rewolucyonistę, przebranego za kobietę.

J. HAWTHORNE.

Tragiczna tajemnica.

Z upoważnienia autora z angielskiego przełożył J. R.

2 (Ciąg dalszy).

Stanęli oboje przed gospodą i patrzyli na dom, blizki już zapadnięcia. Ona miała na szyi rodzaj szala, który zasłaniał jej prawie zupełnie dolną część twarzy, podczas gdy czoło zasłonięte było kapeluszem. Tylko ładny rzymski nosek i para bardzo ruchliwych, wyrazistych siwych oczu była odkryta.

Ślimakowi zdawało się, że zauważył, iż oczy te, rozglądające się naokoło, były zwilżone łzami; zdawało mu się też, że kobieta błagalnym ruchem zwróciła się do towarzysza, z jakąś prośbą, jednak on — starszy już mężczyzna z gęstymi czarnymi brwiami i siwiejącą brodą — zaprzeczył stanowczo ruchem głowy. Był on niespokojny, jakby jak najprędzej chciał opuścić to miejsce i prawdopodobnie słowa, z jakiemi się kilkakrotnie zwracał do swej towarzyszki, zawierały prośbę, aby iść dalej. Kobieta jednak oparła się temu i widać nawet było, że ma ochotę nietylko nie odchodzić, lecz owszem wejść do domu, gdzie miała miejsce katastrofa. Spostrzegł to ów mężczyzna, więc przemocą prawie wziął ją pod rękę i prowadził ku ulicy, z której przyszli.

Ślimak miał wielką ochotę pójść za nimi — możeby mu to było oszczędziło wiele późniejszych trudów — jednak pomny swego zadania, które brzmiało: „dowiedzieć się na miejscu wszelkich możliwych szczegółów“ — pozostał. Zresztą podejrzenie, że te dwie osoby mają z morderstwem coś wspólnego, nie miało najmniejszych uzasadnionych podstaw, aby tracić czas na ich śledzenie. Odwrócił się więc od nich i zaczął obserwować grupę Francuzów, którzy niedaleko od bramy dosyć głośno ze sobą rozmawiali, żywo gestykulując.

Ponieważ Ślimak znał język francuski i nawet dość biegle nim władał, przyłączył się przeto do nich i przysłuchiwał się ich rozmowie, której głównym przedmiotem była tragiczna śmierć ich rodaka.

Jeden z nich znał Hanier'a jeszcze z Paryża, gdzie tenże miał fabrykę likierów i był wcale zamożnym. Potem spotkało go nie szczęście, wskutek którego opuścił kraj rodzinny i wywędrował do Ameryki. Inny wspomniał, że on i Hanier byli członkami pewnego stowarzyszenia socyalistycznego, w którem z pewnością wiadomość o jego śmierci ogólną wywoła żałobę. Każdy zresztą miał do powiedzenia coś dobrego o zamordowanym przyjacielu. Wtem do grupki rozmawiających przyłączyli się obydwaj Francuzi, którzy pierwsi usłyszeli rozpaczliwe wołanie o pomoc pani Hanier i zaraz w nocy pospieszyli na miejsce wypadku. Naturalnie i dracu zasypano ich pytaniami. Okazało się, że należeli oni do tych ostatnich, którzy Hanier'a jeszcze za życia widzieli. Obydwaj bowiem siedzieli wieczór poprzedniego dnia w gospodzie i rozstali się na chwilę przed zamknięciem.

Jednemu z nich błysła nagle nowa jakaś myśl, chwycił towarzysza za ramię i zawołał:

— *Tiens mon ami!* (Słuchaj przyjacielu!—Przyp. tłom.) Mam myśl! Te łotry! tak, tak! To oni musieli być!

— O kim mówisz?

— Naturalnie o tych gałganach, którzy jakeśmy jeszcze siedzieli w gospodzie, wpadli do szynkowni i chcieli ukraść pieniądze z szuflady. Schwycił ich Hanier na gorącym uczynku, więc gałgany uciekły. A, teraz już sprawa jest jasną zupełnie. Ponieważ nie mogli wieczór wykonać swego zamiaru, więc przyszli później, splądrowali sklep i zamordowali Hanier'a.

Wiadomość ta wywarła olbrzymie wrażenie. Kilkanaście głosów się podniosło, pytania zaczęły się krzyżować i przez długi czas trwała wrzawa. Zdawało się bowiem wszystkim, że rzeczywiście trafili na drogę do odkrycia zbrodni.

Ślimak zamienił się cały w słuch.

Sprawę tę omawiano jeszcze szeroko i długo; ostatecznie postanowili obydwaj Francuzi udać się do pani Hanier i uwiadomić ją o swem podejrzeniu. Przy drzwiach zatrzymał ich policyant; kiedy mu jednak powiedzieli, z czem idą, puścił ich do wnętrza. Ślimak wsunął się za nimi.

W sypialni było wszystko tak, jak przedtem. Tylko trup był przykryty chustką. Na łóżku siedziała pani Hanier; dzieci odesłano do ich pokoju.

Francuzi oznajmili wdowie, że w ostatni wieczór przyszło do szynkowni kilku ludzi i podczas gdy dwaj starali się odwrócić uwagę Hanier'a od szynkowni, jeden z nich usiłował dostać się do szuflady z pieniądzmi. Hanier jednak spostrzegł się, więc łotrzyki czmychnęli, jak mogli najprędzej.

Biedna wdowa przypomniała sobie, że mąż jej coś o tem wspominał, ponieważ jednak nie była przytem obecną, więc nie mogłaby zbrodniarzy rozpoznać, nawet gdyby ich złapano. Była ona jakby oszołomiona nieszczęściem, jakie ją spotkało, więc nawet nadzieja, że zbrodniarzy można będzie odkryć, nie zrobiła na niej wrażenia. Bo i cóż jej z tego, że zbrodniarze poniosą zasłużoną karę? Kara ta przecie nie przywróci do życia jej małżonka, nie wróci jej już szczęścia i spokoju.

Wreszcie Francuzi odeszli, mocno przekonani, że znaleźli właściwy ślad i że będą w stanie, o ile się tylko sposobność nadarzy, rozpoznać owych trzech złodziei. Opisali więc pokrótce wygląd każdego z nich stojącemu na straży policyantowi, a telegraf rozniósł te rysopisy we wszystkich kierunkach. Ale ludzi podobnych jest w Nowym Jorku tysiące; któż mógł zaręczyć, że zostanie schwytany właściwy zbrodniarz?

Tymczasem Ślimak uwiadomił panią Hanier w jej własnym języku o swojem zadaniu i o celu swych odwiedzin. Powiedział jej, że okoliczności, wśród jakich popełniono morderstwo, każą przypuszczać, że zbrodniarze chcieli się zemścić na swojej ofierze. Aby więc można było wpaść na trop morderców, musi mi pani — mówił do niej — dokładnie opowiedzieć wszystkie zdarzenia z życia Hanier'a oraz nazwiska wszystkich ludzi, z którymi nieboszczyk miał stosunki. Tylko w ten sposób można być pewnym pomyślnego rezultatu, a szczegółów tych najlepiej może mi udzielić pani.

Te słowa wyrwały panią Hanier z odrętwienia. Odpowiadała szczegółowo na stawiane jej pytania i opowiedziała historyę życia Ludwika Hanier'a.

Po kilku godzinach powrócił Ślimak, mając zanotowane mnóstwo szczegółów mniejszej lub większej wagi, do gmachu tajnej policyi przy ulicy Mulberry i zapukał do kancelaryi inspektora.

III.

W pokoju inspektora policyi.

W olbrzymim gmachu dyrekcyi policyi w Nowym Yorku znajduje się na drugiem piętrze wielki pokój, którego okna wychodzą na dziedziniec. Pokój ten urządzony był prawdziwie zbytkownie. Na podłodze rozesłany był wspaniały dywan ciemnej barwy, duże stoły, nakryte zielonem suknem, były jakieś zgrabne i lekkie, wspaniałe fotele były zrobione w ten sposób, że nie tyle uważano na ich wygląd, jak na wygodę. Wogóle pokój ten mógł robić bardzo dobre wrażenie i mógł się podobać, gdyby go nie szeciły wysokie, oszklone szafy, stojące przy ścianie.

Szaf tych było trzy; sięgały one od podłogi aż do sufitu i zwracały na się odrazu uwagę z powodu najrozmaitszych przedmiotów, jakie się w nich znajdowały. W jednej było mnóstwo instrumentów, wyglądających jak narzędzia do włamywania, tam znowu pełno pił, a dalej zbiór broni różnego rodzaju, od sztyletu, jakiem się posługują Indyanie i strasliwego noża, używanego przez majtków, aż do rewolweru najnowszej konstrukcyi. Najbogatszy jednak był zbiór broni palnej: pistolety, rewolwery, floberty i karabiny, między nimi kilka o dziesięciu, a nawet dwunastu lufach. Było tam też kilkanaście czarnych „śmiertelnych koszul“, w jakie ubierają idących na stracenie. Na każdej koszuli była wypisana data i nazwisko zbrodniarza, który poniósł śmierć, ubrany w tę koszulę. Wogóle wszystkie przedmioty oznaczone były odpowiedniemi kartkami. Było to muzeum kryminalne w Nowym Yorku — wielka wystawa sztuki i przemysłu zbrodniarzy. Te pamiątki po wrogach ludzkości przechowywano tutaj jakby celem przypomnienia, że rodzaj ludzki dotąd jeszcze nosi na czole Kainowe piętno.

Jakby dla dopełnienia tego obrazu narzędzi zbrodniczych wisiały na ścianach portrety najgłośniejszych zbrodniarzy. Powszechne jest mniemanie, że zbrodniarze mają na twarzy wypisaną potworność swej duszy. Mniemanie to jest jednakże błędne. Na twarzach zbrodniarzy, których fotografie tam wisiały, czytało się tylko na niektórych wyraz zbrodniczy. Inne, a była ich większa część, nie zdradzały bynajmniej popędu zbrodniczego. Owszem, były to twarze dobroduszne, lekko uśmiechnięte, bardzo nawet czasami inteligentne.

W tym pokoju, w prywatnem biurze nowojorskiej tajnej policyi, siedział 30 grudnia przedpołudniem silnie zbudowany mężczyzna, lat najwyżej czterdziestu, ubrany bardzo porządnie. W przyjemnych rysach jego twarzy odbijało się dziwne połączenie otwartości i skrytości. Zazwyczaj robił on wrażenie człowieka roztargnionego, a jednak miał on nadzwyczajny talent obserwowania ścisłego i dokładnego. Sądząc po jego powolnej mowie możnaby go wziąć za majętnego przemysłowca, piastującego jakiś wyższy urząd kupiecki. A przecie człowiek ten piastował jeden z najważniejszych i najbardziej odpowiedzialnych urzędów wielkomiejskich, mianowicie urząd dyrektora nowojorskiej policyi tajnej. Człowiek, który w tym pokoju siedział pochylony nad biurkiem, zawalonem aktami, był nikim innym, jeno inspektorem Byrnesem we własnej osobie.

— Proszę!—zawołał silnym głosem, usłyszawszy pukanie do drzwi.

Do pokoju wszedł Ślimak.

— Już z powrotem? — zapytał inspektor, opierając się wygodnie w fotelu.—I cóż się pan dowiedziałeś w sprawie morderstwa przy ulicy Wolności?

— Albo dużo—albo nic! — odparł Ślimak tak cichym głosem, jakby nie odpowiadał na pytanie, ale sam siebie oskarżał.

— Dużo, albo nic! — powtórzył inspektor — co to znaczy? Brzmi to całkiem zagadkowo.

— Mówię: „dużo“ — ciągnął dalej Ślimak — bo morderstwa dokonano wśród nadzwyczajnych okoliczności — a „nic“ — bo faktycznie niema ani jednego szczegółu, któryby wyświetlał tajemnicę.

— Jakież to nadzwyczajne okoliczności?

— Przedewszystkiem fakt, że historya życia Hanier'a jest nadzwyczaj powszednia, i nie daje podstawy nawet do przypuszczeń. Życie to tak było proste, że Hanier nigdy nie miał nieprzyjaciela, postępował otwarcie i uczciwie, zyskując sobie jeno powszechny szacunek. Z tego nie można wyciągnąć wniosków celem wykrycia morderców. Dalibóg, możnaby nawet uwierzyć, że ten człowiek, jeśli nagle umarł, to sobie chyba sam życie odebrał.

— Cóż pan wie o jego życiu?

Ślimak usiadł wygodnie w fotelu i zaczął opowiadać to, co chwilę przedtem usłyszał.

Hanier pochodził z Francyi. Urodził się w roku 1842 w Vendreuil w Pikardyi, w małej górskiej wiosce w Ardennach, gdzie jego ojciec trudnił się uprawą lnu. Otrzymał odpowiednie do swego stanu wychowanie i wyrósł na pięknego, zdrowego, silnego chłopaka. Miał siostrę, młodszą od niego o jakie cztery lata, która miała być podobno nadzwyczaj piękną.

Jako dwudziestoletni młodzieniec, Ludwik Hanier odznaczał się tem, że był nietylko przystojniejszy, ale i o wiele mądrzejszy aniżeli jego rówieśnicy, na wsi wychowywani. Wkrótce ogarnęła go też niepokonana żądza puszczenia się w świat i szukania szczęścia. Pojechał więc do Belgii, siedział tam parę miesięcy, później zwiedził całą północno-wschodnią Francyę, zarabiając na życie własnemi rękoma. Podczas tych podróży udało mu się poznać tajemnicę fabrykacyi likierów, którą się podówczas zajmowały wyłącznie Niderlandy, i przyswoił sobie gruntowną znajomość tej gałęzi przemysłu. Ponieważ zaś wiedział, jaką masę likierów spotrzebowuje rokrocznie Francya, miał więc nadzieję, że znajomość tę będzie mógł bardzo dobrze spieniężyć.

Jednak środki pieniężne, jakiemi rozporządzał, były za szczupłe i musiał dosyć trudności przezwyciężyć, zanim zebrał tyle, aby módz otworzyć własną fabrykę. Mimo to po dwóch latach jego fabryka likierów przy ulicy All ir-Chartre pod liczbą 30 w Paryżu była już w ruchu.

Tymczasem siostrą jego, która miała przecudny głos, zajęło się kilku prawdziwych zwolenników sztuki, jacy ją przypadkowo podczas wakacyi poznali i słyszeli jej śpiew. Oni to postarali się o to, że młoda dziewczynę przyjęto do konserwatoryum w Paryżu, gdzie się uczyła śpiewu u najwybitniejszych mistrzów. Po czterech czy pięciu latach gorliwej nauki wystąpiła młoda śpiewaczka publicznie i zyskała ogromne uznanie nietylko publiczności, ale i surowej krytyki. Przyszłość jej więc była zapewnioną. Zaangażowano ją do Londynu, gdzie, jak sądziła pani Hanier, jakiś majętny pan z dobrej rodziny musiał się jej oświadczyć, bo porzuciła scenę, na której takie święciła tryumfy, widocznie przekładając spokojne zacisze domowe-

go ogniska, nad oklaski i kwiaty, jakie jej do stóp słano.

Los Ludwika nie był tak świetny, ale i jemu z początku szczęście się uśmiechało. Wkrótce po odjeździe siostry poślubił urodziwą córkę jednego z paryskich fabrykantów, a posag, jaki za nią otrzymał, ogromnie mu się przydał. Żona była dlań pod każdym względem wierną i dobrą pomocnicą i towarzyszką, więc młoda para patrzała spokojnie w przyszłość. Liczyli prawdopodobnie oboje na to, że interesa będą szły coraz lepiej, że więc los dzieci będzie zapewniony.

Aby zawiązać nowe stosunki, wyjechał Hanier do Brukseli i od tego czasu gwiazda jego szczęścia poczęła blednąć. Poczęły raz po razu spadać nań drobne niepowodzenia, małe same w sobie, ale jednak znaczne, gdy się je razem wszystkie wzięło pod uwagę. Po dwóch latach zaprzestał Hanier walki; pieniądze, jakie miał, stracił, postanowił więc szukać szczęścia w Stanach Zjednoczonych. Sprzedał resztki swojej fabryki jak mógł najlepiej, wsiadł w Hawrze na okręt i po dziesięciodniowej podróży wylądował w Castle Garden.

Napotkał tu na trudności, na jakie napotkać musi każdy obcokrajowiec, nie znający ani języka, ani zwyczajów nowej ojczyzny. Wiedział wprawdzie, że w Nowym Yorku fabryka likierów znakomicie by się opłacała, ale byłaby ogromnie kosztowna, on zaś nie miał ani pieniędzy, ani kredytu. Spostrzegłszy wreszcie, że o samodzielnym interesie niema co marzyć, chwycił się ostatniej deski ratunku, mianowicie szukania posady w jednym z większych domów, gdzieby swoje fachowe zdolności mógł zużytkować. Ogłosił się więc w dziennikach, że przyjmie posadę piwnicznego w większym handlu. Inserat poskutkował, bo już na drugi dzień wezwano go do jednego z prywatnych domów, gdzie otrzymał posadę.

Zaangażowany został do bogatej rodziny, nazwiskiem Desmond. Pan domu, Irlandczyk z urodzenia, jednak obywatel Stanów Zjednoczonych, brał był udział w wojnie, był członkiem kilku politycznych stowarzyszeń w Nowym Yorku i żył teraz ze swej renty. Co do jego żony, Francuzki z urodzenia, wyrażał się Hanier w tajemniczy dość sposób; mówił, że nie jest mu ona zupełnie obcą, bo zajmowała się jego siostrą podczas jej studyów w konserwatoryum. Przypomniała go sobie, przeczytawszy jego nazwisko w gazecie i natychmiast po niego posłała. Przyrzeczono mu pokaźną wcale pensyę, a kapitan Desmond wynajął w pobliżu mieszkanie dla jego familii.

Szczęście więc uśmiechnęło się Hanier'om na nowo. Nie opływali wprawdzie w dostatki, jak dawniej, ale też nie potrzebowali robić długów, a nawet zdołali rokrocznie odkładać do kasy skromne oszczędności. Hanier spełniał swoje obowiązki z radością i był zwłaszcza wiernie oddany pani; pani zaś okazywała mu swą łaskę i przyjaźń i corocznie na Boże Narodzenie posyłała mu ładny podarek. Życie ich płynęło więc spokojnie i błogo.

Zaszła jednak w końcu zmiana i to nagła. Czy Ludwik został wydalony, czy też sam dobrowolnie porzucił służbę, o tem biedna wdowa nic pewnego nie wiedziała. Prawdopodobnie przyszło między nim a jowialnym dosyć kapitanem do ostrej wymiany słów, skutkiem której było opuszczenie służby przez Hanier'a. Co jednak mogło być przyczyną zajścia, o tem Hanier nigdy nie wspominał.

Za pieniądze, jakie miał z oszczędności i te, które mu wręczył przy rozstaniu kapitan Desmond, wynajął Hanier ów stary dom przy ulicy Wolności, gdzie od tego czasu mieszkał. W dzielnicy tej osiedliło się kilkadziesiąt rodzin francuzkich, które stanowiły dla poczciwego Haniera stałą klientelę. Założył on mianowicie sklepik i zaopatrzył go w likiery i wina, jakie najbardziej przypadały do smaku jego klientom. W piwnicy zaś urządził sobie fabrykę likierów na małą skalę. W ten sposób przez pracę i energię doprowadził w ciągu kilku lat do rozkwitu swego interesu, przyczem dzielnie mu pomagała żona, chociaż miała dosyć pracy z wychowaniem sześciorga dzieci. Oprócz tego stołowało się u nich kilkunastu francuskich robotników.

Winiarnia miała wogóle bardzo dobrą reputacyę. Hanier starał się przedewszystkiem o to, aby do jego lokalu nie uczęszczali pospolici pijacy, uprawiający zazwyczaj jakie zakazane rzemiosło. Więc też policya miała o nim i o jego gospodzie jak najlepsze mniemanie. Policya miała tam tylko wtedy coś do roboty, jeżeli chodziło o obronę Haniera przed złośliwością uliczników i rzezimieszków, którzy sądzili, że Francuzowi można bezkarnie grać na nosie.

— To jest właśnie ten gatunek ludzi — przerwał inspektor — który przedewszystkiem należałoby posądzić o morderstwo. Zagrozili Hanier'owi dlatego, że ich nie chciał mieć u siebie, więc połączyli się, aby się za to zemścić.

— Tak, ale dla tak błahych powodów nie zwykli się oni dopuszczać morderstwa — zauważył Ślimak.

— Mogli wcale nie mieć morderczych zamiarów, kiedy się wdarli do gospody. Ale jeżeli taka lekkomyślna młódź w pijanym, podnieconym stanie napotkał na najmniejszą przeszkodę, a ma broń w ręku, to nieszczęście może zajść bardzo łatwo. Ale proszę dalej!

— Jedna okoliczność zdaje się przemawiać za pańskiem przypuszczeniem — ciągnął dalej Ślimak. — Mianowicie wczoraj wieczorem około godziny dziewiątej przyszło do gospody Hanier'a trzech nicponiów, którzy chcieli obrabować kasę. Hanier ich spłoszył. Czyżby oni wrócili i splądrowali mu sklep?

— A pani Hanier mogłaby ich rozpoznać?

— Nie, jej nie było podówczas w gospodzie. Tylko dwaj Francuzi, którzy się u Hanier'ów sto-



....Ślimak usiadł wygodnie w fotelu i zaczął opowiadać to, co przed chwilą słyszał....

łują, widzieli drabów i opisali, jak wyglądają. Rysopisy zostały już roztelegrafowane.

— Może to nas do czegoś zaprowadzi — rzekł inspektor i dodał zaraz:

— Nie zauważył pan nic innego?

— Absolutnie nic! Tylko, jak stałem przed gospodą i obserwowałem grupy ludzi, zauważyłem mężczyznę i kobietę — albo raczej pewnego pana i pewną damę — którzy stali w tłumie i ze szczególnem zajęciem przypatrywali się gospodzie. Kobieta zwłaszcza była, jak mi się zdawało, silnie wzruszona. Odeszli jednak, zanim się mogłem ku nim zbliżyć, by usłyszeć ich rozmowę.

— Jakże oni wyglądali? — zapytał inspektor.

— Tacy byli pootulani, że nie mogłem im się dobrze przypatrzeć. Mężczyzna miał krzaczaste brwi i siwiejącą już brodę. Trzymał się prosto, a był dobrze zbudowany. Kobieta była odeń może o dwadzieścia lat młodsza, bardzo piękna. Mógłbym ich nawet poznać.

Inspektor oparł brodę na dłoniach i patrzał przez chwilę zamyślony na kałamarz, stojący na biurku. Potem znów wyprostował się i zapytał:

— Znalazł pan jakie ślady w gospodzie?

— Znalazłem, ale bardzo mało znaczące. Drzwi były wysadzone z zawias, zamek był oderwany — co każe przypuszczać, że nie włamywacze tamtędy wchodzili. Szuflada była naturalnie pusta; pieniądze zabrano. Szczególna rzecz jednak, że wszystko w gospodzie było powywracane i poniszczone; dalibóg, możnaby sądzić, że tam nie byli złodzieje, ale że wpadło tam kilkunastu obłąkanych, którzy uciekli ze szpitala, albo też kilka dzikich małp, zbiegłych z klatek. Wszystko robione bez myśli i celu. Pieniędzy nie potrzebowali szukać, mieli je przecież pod nosem. Albo więc mieli zamiar wypłatać figla, albo też chcieli się zemścić na Hanierze. Ale to znów jest sprawa zagadkowa, bo naprzód splądrowali mu sklep, aby mu figla wypłatać, a potem go zabili. Wygląda to tak, jakby się komuś brodę ostrzygło, zanim mu się zetnie szyję. Morderstwo zaś było — zdaje mi się — uplanowane. Złoczyńcy mogli przecież spokojnie uciec — oni natomiast zwabili poprostu Hanier'a, aby zeszedł na dół i zastrzelili go. Ta sprawa to jakby rebus, którego nie mogę zrozumieć. Bo: kto chciał ukraść pieniądze, ten nie niszczyłby sklepu; ktoby zaś chciał splądrować gospodę, tenby nie był zamordował właściciela. Albo więc podejrzenie na tych rzezimieszków niema najmniejszej podstawy, co nie jest nieprawdopodobnem, albo też przyczyna morderstwa leży gdzieindziej.

— Mianowicie? — zapytał inspektor, gdy Ślimak przerwał na chwilę.

— Mogą przecież być ludzie wyższej sfery, którym zależało na tem, aby Haniera zgładzić ze świata. Hanier był członkiem kilku francuskich stowarzyszeń, które wprawdzie na pozór nie mają charakteru tajnych związków, ale kto wie? Może on był niewygodny dla naczelników tych stowarzyszeń, którzy wydali rozkaz, aby go usunąć z pomiędzy żyjących i w ten sposób go się pozbyć. Aby zaś usunąć podejrzenia, dokonali tego w sposób tak niezwykły i nawet awanturniczy. Czy to nie rzuca pewnego światła na sprawę?

— Hm! A czy pan sądzi, że pani Hanier wie o tem, iż mąż jej miał zapatrywania socyalistyczne?

— Jestem prawie pewny — naturalnie, jeżeli sprawy tak stały, jak ja przypuszczam — że Hanier ani słówkiem jej o tem nie wspomniał.

— Ale pan sądzi, że ten pan i owa dama, o których pan wspominał, umaczali rękę w tej sprawie?

— Nie chcę tego twierdzić, ale w takim wypadku jak obecnie, nie należy spuszczać z oka najdrobniejszych szczegółów.

— Bez kwestyi, ale fantazya często nam wyrządza psikusa. W naszej służbie nic nie jest tak pożyteczne, jak suche fakta i zdrowy, chłopski rozum. Przyczyn nie zawsze szukać trzeba, bo wiele rzeczy zawisło jedynie od chwili. Gdybyśmy przyjęli, że wszystko dzieje się równolegle do celu i zamiaru, łatwobyśmy poszli na fałszywe drogi. Ale dalej! Cóż pan znalazłeś w szynkowni? Prosiłbym o dokładne szczegóły.

Ślimak zaczął od początku. Opisał położenie domu i sam dom od zewnątrz, oraz miejsce katastrofy ogromnie szczegółowo. Powtórzył wszystkie mowy, jakie słyszał i wyjaśnił nietylko to, co się odnosiło do rzeczy znanych, ale nawet niejedną drobnostkę na pozór bez znaczenia samą dla siebie, ważną jednak w zestawieniu z innymi faktami. Widocznie człowiek ten nie był nowicyuszem w swoim zawodzie. Zdawało się, że nic nie uszło jego uwagi. Kiedy skończył, inspektor skinął głową z zadowoleniem. C. d. n.

Dwudziestopięciolecie „Lutni“ lwowskiej.

W listopadzie tego roku minęło lat 25 od chwili zawiązania we Lwowie znanego w całej Polsce Towarzystwa śpiewackiego „Lutnia“. Z dumą i zadowoleniem może „Lutnia“ patrzeć na minione lata swej działalności, z poczuciem spełnionego dzieła obowiązku, z świadomością, że lat tych nie zmarnowała, ale złożyła dowody żywotności i pozostawiła wybitne ślady pracy. Z otuchą też i ze spokojem może „Lutnia“ patrzeć w dalszą swą przyszłość.



Dwudziestopięciolecie „Lutni“ lwowskiej: Obecny prezes „Lutni“ dr. A. Czerny.



Dwudziestopięciolecie „Lutni“ lwowskiej: Założyciel i były prezes „Lutni“ Romuald Makarewicz.

Zawiązało „Lutnię“ w listopadzie 1880 roku grono zamiłowanych w sztuce śpiewackiej osób, pod wodzą Stanisława Cetwińskiego, jako dyrygenta i Romualda Makarewicza, jako administracyjnego kierownika, naprzód pod nazwą lwowski chór męski“, a od roku następnego pod nazwą „Lutni“. Celem inicyatorów było krzewienie zamiłowania do muzyki wogóle, a do śpiewu chóralnego i narodowego w szczególności, w owym czasie zupełnie zaniedbanego. Dzięki talentowi, energii i pracowitości obu wspomnianych przodowników towarzystwa, dzięki dalej zapałowi całego grona członków, grona, które niemal w tym samym składzie do dnia dzisiejszego stanowi rdzeń „Lutni“, młode towarzystwo szybko się rozwinęło i zdobyło sobie sławę, nietylko w Galicyi, nietylko w całej Polsce, ale i poza jej granicami.

Pierwszym prezesem „Lutni“ lwowskiej był p. Romuald Makarewicz, człowiek obdarzony silną wolą, energią i zdolnościami organizatorskiemi, czego dowody złożył, zakładając prócz „Lutni“ „Tow. wzajemnej pomocy urzędników prywatnych“, „Tow. wzajemnej pomocy członków orkiestry teatralnej“, „Tow. wzajemnej pomocy organistów“, i współdziałając przy założeniu galic. tow. leśnego — a przytem zamiłowany w muzyce i niepośledni jej znawca. Przez długi szereg lat prowadził wzorowo towarzystwo, a ustąpiwszy z czasem z tej godności, pracuje po dziś dzień w wydziale. Następcami p. Makarewicza byli kolejno pp.: E. Lukas, T. Czapelski, dr. Szulisławski, prof. Balasits, a obecnie adwokat kraj. znany i ceniony dla swego pięknego głosu tenorowego, śpiewakamator dr. K. Czerny.

W numerze dzisiejszym podajemy portrety założycieli i dotychczasowych członków „Lutni“ pp. Makarewicza i Cetwińskiego, oraz obecnego jej prezesa dra K. Czernego.



Dwudziestopięciolecie „Lutni“ lwowskiej: Dyrygent „Lutni“ Stanisław Cetwiński.

Wkroczenie wojsk międzynarodowych do Mytilene.

W poprzednich numerach pisaliśmy już o międzynarodowej demonstracyi flot, mającej zmusić sułtana do powierzenia kontroli nad skarbowością Macedonii, połączonym mocarstwom Europy. Na czele eskadry międzynarodowej, stał admirał austryacki Ripper, który miał polecone zamknąć wody tureckie, przerwać turecki handel, opanować cła i urzędy podatkowe na pomniejszych wysepkach, a gdyby to wszystko nie pomogło, wtedy miał się posunąć aż pod Konstantynopol i zagrozić sułtanowi jawną wojną, gdyby władca Turcyi trwał dalej w swym uporze.

Naprzód zajął więc admirał Ripper Mytilene. Zajął komorę celną w porcie mytileńskim i wkrótce potem wszedł na czele kilkuset ludzi liczącego oddziału do miasta. Deszcz padał ogromny, kiedy międzynarodowe wojska wkraczały do Mytilene. Pomimo to jednak, cała ludność wyległa na ulice, witając swoich obrońców przed żarłocznością władz tureckich. Ulice, któremi przechodził oddział międzynarodowy w pełnym rynsztunku wojennym, zapełnione były publicznością do tego stopnia, że zaledwie starczyło miejsca na przejście żołnierzy.

Opanowanie Mytileny nie było jednak tak strasznym ciosem dla sułtana, jakgdyby się zdawało. Sułtan bowiem pobrał już przedtem z góry wszelkie opłaty i podatki za pół roku z wysepek rozsianych na morzu Egejskiem, a nawet z Macedonii i po-



Wkroczenie wojsk międzynarodowych do Mytilene: Wojska międzynarodowe, zająwszy komorę celną w Mytilene, wkraczają do miasta.



Wojna z Hererami: Oddział Hererów, wzięty do niewoli, strzeżony przez wojska niemieckie. (Tekst na stronie 20).

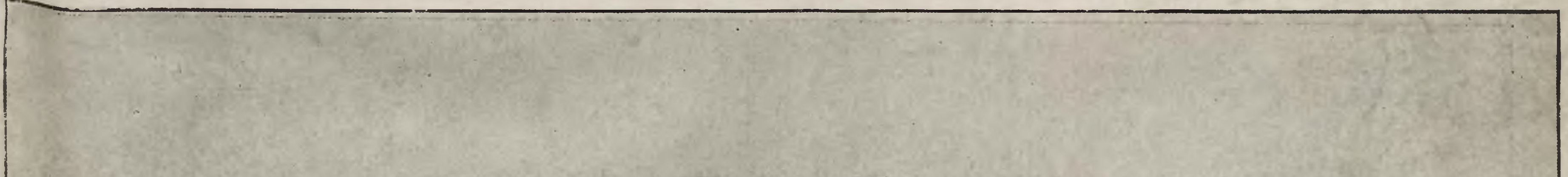
brzękując kiesą, nie spieszył się z zadośćuczynieniem woli mocarstw. Korzystał z tego, że w Turcyi były święta Bajramu, podczas których, wedle zwyczaju, sułtan nie załatwia żadnych spraw dyplomatycznych i zwlekał, przekonany, że przecież w tym małym koncercie mocarstw europejskich zajdzie jakiś dyssonans, jakiś zgrzyt, który całą tę akcyę unicestwi, a jego pozostawi w spokoju.

Pomylił się jednak. Mocarstwa europejskie nie tylko, że się nie poróżniły, ale demonstracyę flot przeprowadzały z ogromną konsekwencyą. Po Mytilene przyszła kolej na zajęcie innych wysepek i miast nadbrzeżnych, tak, że wreszcie jego sułtańska mość widział się zmuszonym ustąpić i dnia 18 b. m. zawiadomił mocarstwa, że zgadza się na to, aby te mocarstwa miały kontrolę nad skarbowością Macedonii, wskutek czego natychmiast demonstracya flot została odwołaną.

Ostatecznie udało się dyplomacyi europejskiej uzyskać wpływ na stosunki w Macedonii. Czy jednak te stosunki odrazu się zmienią? Czy ustaną już rzezie chrześcijan, przestanie gorzeć wojna domowa w tej nieszczęsnej krainie? To przyszłość najbliższa dopiero pokaże.

* * *

W uzupełnieniu artykułu podajemy obok ilustracyę, przedstawiającą wkroczenie wojsk międzynarodowych do Mytilene.



Wojna z Hererami: Przewożenie przez wojska niemieckie dział ze stacyi Svakopmund. (Tekst na stronie 20).

Autor krotochwili „Jegomość pan Rej w Babinie".

Z pomiędzy młodych literatów współczesnych, w krótkim stosunkowo czasie wybił się na czoło Adolf Nowaczyński. Krakowianin rodem, tu kończył szkoły średnie, tu też rozpoczął swoją działalność literacką, dzisiaj już, mimo stosunkowo młodego wieku autora, obfitą i w literaturze doby obecnej bardzo zaszczytnie się wyróżniającą. Można śmiało powiedzieć, że Nowaczyński należy do najbardziej czytanych przez publiczności najbardziej cenionych przez krytykę autorów.

Talent to bardzo wszechstronny i o bardzo szeroki h widnokręgach umysł wych. Czego bowiem Nowaczyński nie pisał? Zaczął od zjadliwych, zgryźliwych, pełnych ironii i druzgocącej satyry nowelek, które mu odrazu zyskały wzięcie i uznanie, potem pisał studya literackie, w których rozwinął nietylko bajeczną znajomość literatury powszechnej, ale również i to w wysokim stopniu dar odczuwania autorów tak naszych, jak i zagranicznych, doskonałą znajomość życia we wszelkich jego przejawach i zdolność bystrego, a zawsze prawie trafnego sądu. Błyskotliwy, ruchliwy jak potok górski styl, umiejętność ujmowania w krótkie aforyzmy swych myśli, przytem gryzący, wściekły jad satyry, jaki tchnął z każdego jego wiersza, satyry na wszystkich i na wszystko — oto zalety jego dzieł, w których tkwi źródło ich powodzenia i poczytności.

Nie poprzestał jednak Nowaczyński na nowelach i satyrach. Przed dwoma laty niespełna przerzucił się nadspodziewanie na pole dramatu i — znowu okazał się zdolnym artystą, niepowszednim twórcą. Żywość opowiadania, tak przykuwająca czytelnika do jego nowel i studyów krytycznych, posłużyła mu jako wyborny środek do uzyskania powodzenia na scenie. Zaczął od jednoaktówek, z których cztery wystawiono przed dwoma laty w teatrze krakowskim. Te drobne utwory sceniczne wskazywały już, że scena polska, że polska sztuka dramatyczna pozyskały nową wielką, utalentowaną siłę. I nie zawiodła się ani publiczność, ani krytyka.

W bieżącym roku wystąpił Nowaczyński z wielkim dramatem historycznym. „Dyabeł łacuński" był już pracą dojrzałą, szeroko pomyślaną i z rozmachem, godnym wielkiego artysty, wykończoną. Zyskał też uznanie najzupełniejsze. Głównymi zaletami tego utworu jest znakomite odczucie epoki historycznej, jaką na scenie przedstawia, doskonałe wniknięcie w ducha czasu i ludzi, umiejętność rozbienia typów i posługiwania się językiem danej epoki wprost zdumiewająca.



Autor krotochwili „Jegomość Pan Rej w Babinie": Adolf Nowaczyński.

Obecnie wystawił Nowaczyński w teatrze krakowskim nowy większy utwór pod tytułem: „Jegomość pan Rej w Babinie, świecka krotofila w trzech sprawach". Impuls do napisania tego utworu dała mu przypadająca w tym roku właśnie czterechsetna rocznica urodzin nestora naszych pisarzy, Mikołaja Reja z Nagłowic. Treść i ocenę tego utworu znajdą czytelnicy w dzisiejszym numerze obok w rubryce „Z teatru". Tutaj zaznaczymy tylko, że „Jegomość pan Rej w Babinie" podbił odrazu publiczność i zapewnił sobie na scenie trwałe powodzenie. Ta „świecka krotofila" jest jednym jeszcze dowodem, że talent młodego literata z każdym dniem coraz bardziej się pogłębia, mężnieje i rozwija się, wróżąc p. Nowaczyńskiemu świetną przyszłość.

Z okazyi wystawienia „Jegomościa pana Reja w Babinie" zamieszczamy w dzisiejszym numerze obok tej sylwetki fotografię p. Nowaczyńskiego.

Kongres włościański w Moskwie.

Jak było do przewidzenia, manifest konstytucyjny w Rosyi nie zdołał odrazu załagodzić wewnętrznego wrzenia w kraju. Żywioły rewolucyjne, nie dowierzając rządowi, nie zaprzestały walki, żywioły reakcyjne wszczęły na nowo ostatnie zapasy w swojej obronie i znowu Rosya cała stanęła w płomieniach. Skorzystano jedynie odrazu ze swobody zgromadzania się i wraz rozpoczęły się w Moskwie obrady ziemców, a prawie równocześnie z niemi obrady Związku włościan. Obydwa te zjazdy zajmowały przez kilka dni całą o inię rosyjską i w ogóle europejską. Wiedziano bowiem, że jakkolwiekbądź, ale w każdym razie obrady i uchwały tych dwóch zjazdów siłą faktów nie mogą pozostać bez wpływu na rząd.

Obrady ziemców były mniej burzliwe i mniej radykalne, aniżeli się tego spodziewano. Główny prawie punkt obrad stanowiła kwestya, czy dla wprowadzenia wreszcie porządku w państwie należy zwołać konstytuantę, czy nie. Sądząc z ogólnego nastroju społeczeństwa w Rosyi, spodziewano się, chociaż naturalnie nie twierdzono tego na pewne, że ziemcy mogą rzeczywiście uchwalić zwołanie konstytuanty. Okazało się, że ziemcy nie są wcale tak rewolucyjni, gdyż odnośny wniosek odrzucono 7-miokrotną prawie większością głosów.

Równocześnie ze zjazdem ziemców odbywał się również w Moskwie zjazd włościański. Przebieg obrad był bardzo burzliwy i bardzo rewolucyjny. Zwiazek uchwalił dążyć do zwołania konstytuanty, wychodząc z założenia, że półśrodków nie uznaje i wie, co ma robić. Uchwalono dalej wejść w porozumienie ze wszystkimi organizacyami robotniczemi, polecić włościanom nie płacić podatków itp.

Nie ulega kwestyi, że uchwały Związku włościan były dla rządu groźne. Jakby echem ognistych przemówień podczas obrad Związku były zaburzenia agrarne, które wybuchły w prowincyach nadwiślańskich. Obrady Związku włościan były dowodem, że mużyk rosyjski przestał już być ciemnem, nieokrzesanem narzędziem w ręku władz, ale że jest już dzisiaj stosunkowo ogromnie uświadomiony.

W uzupełnieniu artykułu podajemy w dzisiejszym numerze fotografię, przedstawiającą obrady Związku włościan w Moskwie.



Kongres włościański w Moskwie: Delegaci włościan zebrani na posiedzeniu. (Według nadesłanej nam fotografii).

Zygzakiem.

Z opłatkiem. — Ludziom dobrej woli...

Śnieżą się pola ojczyste, a zaduma znużenia otuliła ziemię po całorocznym trudzie. I oto nadchodzą, jak co roku, święta uroczyste, święta pamiątek, wspomnień najmilszych, więc nawet myśli i serca walczących, znękanych, pokonanych losem i przeciwnościami — imają się skrzydeł w tych dniach, szukają odpocznienia. A przy rozważeniu tego co było, budzi się z konieczności żal z powodu wszystkich strat, przeoczeń, zaniedbań, żal za ubiegającem życiem i ten żal i ta tęsknota stają się przez dziwną tajemnicę ludzkiego myślenia i czucia bodźcem do wierzenia w jutro, do dalszych walk i trudów życia. Stąd wzajemne pocieszania, stąd życzenia na Nowy rok, stąd pieśni i uściski serdeczne, pojednania zwaśnionych, powrót zbłąkanych czy marnotrawnych.

Z cichego nieba w noc wigilijną, zasianego gwiazdami, z ziemi białej i sennej, płyną jakieś inne niż codzień idee, obrazy, nastroje. I choćby wichura wstrząsała nagiemi drzewami, choćby fale białego śniegu uderzały w szyby — jest przecie wyobrażenie i uczucie cichości wielkiej... Uczucie to jest w nas samych, pod wrażeniem uroczystej chwili, o świętym wieczorze drogich pamiątek.

Potrzeba corocznie takich dni kilku na trudnych drogach bytu jednostek i narodów, potrzeba tej cudnej poezyi, która w dzień Bożych Narodzin brzmi ku nam z każdej pieśni, z każdej modlitwy, z każdej jasnej czy smutnej twarzy bliźnich naszych. Potrzeba tego uniesienia duchów, ku wspomnieniu najważniejszego wydarzenia na świecie: narodzenia Nazarejczyka, który boską nauką miłości, prawdy i sprawiedliwości, nauką, co wywyższa biedne i uciśnione, a surowo sądzi i potępia faryzeje i bogacze — otworzył znękanej ludzkości drogi z ciemności do światła, z ucisku i zwątpienia do wyzwolenia i ufności!...

I jako te wiejskie pacholęta w noc wigilijną z kolorową gwiazdą nad głowami, ku cichemu, wiejskiemu kościółkowi dążąc, z trudem wspinają się po oślizgłych ścieżynach lub kopią się przez śniegi, choć mróz ściska ich ciała albo wicher twarz siecze — tak ludzkość chrześciańska, z gwiazdką Chrystusową nad czołem idzie i trudzi się, patrząc tęsknie ku dalekiej świątyni obiecanego nowego życia, uspokojenia, pojednania, wypoczynku, sprawiedliwości, nagrody... A drogi coraz cięższe i coraz bardziej dalekie, a Kościół boży, obietnica Chrystusowa, jakby uchodził przed znużonymi, którzy przecie idą i idą, padają, giną, ale wierzą...

Bo czują, że nad ich głowami, blisko jest ta świetlana gwiazda, co w noc wigilijną zabłysła nad Betleem i obwieściła światu Królestwo Boże.

Nie w ziszczeniu tego Królestwa ale w samem dążeniu do niego, w samym trudzie i walce, aby je ujrzeć, leży moc Chrystusowej idei. Idea ta, miłości, przebaczenia, pojednania, jest zarazem ideą walki o prawa, jest ideą czynu... Wszakże ten Bóg-Człowiek, co przyszedł, by cierpieć prześladowanie i umrzeć za prawdę, sam zapalał się gniewem i imał powrozów, aby wypędzić przekupni z kościoła!...

* * *

Po naszej polskiej ziemi powiał smutek, a bolesne milczenie ściele się po niej, jak ciężkie opary po lasach... Co roku budzimy w sobie samych wierzenia, co roku życzymy sobie, by przeminął okropny czas, który nam dzieje przyniosły, by rok nowy stał się świtem owego dnia, innego, żywego życia!... Ale co roku jakby tchnienie nieubłaganych wyroków, płynie poszept z góry w noc wigilijną:

„Jeszcze nie czas“...

I trwa dalej trud, walka, padają ofiary, mnożą się cierpienia ludu. A że ten lud żyje, że sił nie traci, że nie wątpi, że nieustannie woła o prawo, sprawiedliwość i prawdę — to chyba tej boskiej mocy przypisać należy, co z Betleem i Nazaretu spłynęła na świat cały. Tą boską mocą porównanie biednych z bogaczami, wywyższenie tych, co cierpią prześladowanie dla sprawiedliwości, nad tych, co kłamią lub przemocą wynoszą się nad innych, poczucie godności człowieczej w każdym, co się człowiekiem zowie, groźba sądu i kary na złych, na przeniewierców, na faryzeuszów, na gwałcicieli praw — obietnica nagrody, dla pokrzywdzonych.

I płynie ta moc od wieków, z pokolenia na pokolenie i ona to skupia i wiąże uciśnione i wyzyskiwane masy ludu w jedną wielką rodzinę, ona uszlachetnia dusze, uczy współczucia i współdziałania, uczy miłości wśród tych, którzy sobie są w trudzie i walce wierni i szczerzy...

Ta boska moc trwoży tyrany, bo głosi tryumf dobrego, a upadek w gruzy tego — co jest złem...

Więc choć nad głowami brzmi ciągle posępne: „jeszcze nie czas“, nie upadamy na siłach, idziemy dalej i dalej, wierzymy w nasze jutro... Bylebyśmy jeno ukochali sprawę ludu polskiego tak, jak On, Zbawca i Męczennik sprawę całego świata ukochał!

A więc cieszmy się i śpiewajmy w rad sny dzień Bożych narodzin, a więc z otuchą padajmy sobie w objęcia, życząc jedni drugim pokoju w sercach i dobrej woli w codziennym trudzie.

Vide.

TOAST.

(Trawestacya Ujejskiego).

Każą mi bracia toast wznieść
Więc stoję:
Nad wszystkie inne kraje
Tej ziemi cześć
Tej ziemi cześć i chwała
Co czarne orły wydała.

Tych orłów lot to w chmury, a nie w słońce
Czarność to ducha nikczemna podłota,
Prusacy! wyście tych potęg obrońcę
To waszych dziejów robota,
Dziś wy na szczycie, lecz nie dlatego,
By w was było co dobrego;
Lecz, że w haniebnej występując roli
Trzymacie ciało i ducha w niewoli.

Czy chcecie, czy nie chcecie
Czem kazał Bóg będziecie!

On rzekł: by za grzechy ukarać tę ziemię
Spuszczę nań prusacze plemię,
Niech ludy morduje, niech gniecie,
Niech hańbę roznosi po świecie,
Niech z pożogą wszędzie leci,
Niech polskie katuje dzieci,
Niech prześladuje wiarę,
Języka burzy ołtarze,
Niech w niewinnej krwi się maże
Niech w podłości przejdzie miarę:
Niech nawet głowy ścinanych
Sprowadza do swych muzeów
I na szczycie tych trofeów
Wiedzie taniec hord pijanych.

Prusacy! chcecie, nie chcecie,
Czem kazał Bóg będziecie!

Przez was szerzy się w sercach zaraza,
Przyszedł wiek straszny — wiek krwi i żelaza,
Wstają tyrani wielcy i tyrani mali
Równie bezbożni i równie zuchwali.

I wytknęła im się droga
Bez Boga
I porwała ich zawierucha
Bez ducha
I poczęła żywot w nikczemnej niskości
Bez pieśni i bez miłości.

A kiedy ludy odbędą karę
I posłannictwo Prusaków wstanie,
Bóg wskrzesi dawną i wolność i wiarę
Na hańbę tobie, szatanie!

I wszystkie ludy powstaną z odmętu
Jeden drugiemu zostanie bratem
I sąd ogłoszą nad pruskim katem
I wygubią go do szczętu.

Więc gdy chwilę tę przybliża
Gnębiciele ludów, krzyża,
Krzyżackiej ziemi cześć!
Tej ziemi cześć i chwała
Co czarne orły wydała!



JAPONKA.

Ze wszystkich niewiast na całym świecie
Japonka da mnie najpowabniejsza,
Czy to poważna matrona w domu,
Czy w herbaciarni — figlarna gejsza.

W pięknej kwiecistej Ojczyźnie swojej
Przed obcym wzrokiem skryta zazdrośnie,
W wonnych ogrodach — jak ich siostrzyca
Ten najpiękniejszy kwiat Wschodu rośnie.

Stroi się barwnie, niby laleczka,
A w bujne włosy wpina kwiatuszki,
Ma dziwnie słodkie, głębokie oczy,
Powabne kształty — i małe nóżki.



Chociaż tak drobna, filigranowa,
Ma swoje wielkie, cenne zalety,
Których jej śmiało zazdrościć mogą
Europejskie wszystkie kobiety.

Bo aureoli jej bohaterstwa
Nic nie umniejszy, ani nie zaćmi —
Gdyż szła odważnie przeciw wrogowi
Razem ze swymi mężmi i braćmi.

Bądź pozdrowiony ty piękny kwiecie
Wzrosły wśród pstrego łąk tych kobierca —
I ja kochałbym piękną Japonkę,
Gdybym już Polce nie oddał serca!...

Ostryga.

„Niósł ślepy kulawego... wszak znacie tę bajkę
Odwieczne prastare to dzieje —
Lecz ja wam opowiem ciąg dalszy powieści
Tych dwojga przyjaciół koleje.
— Stój! — krzyknął kulawy — stój! nie rusz się krokiem
Szczególną rzecz widzę na piasku.
Przy twojej jest nodze... w słonecznych promieniach
Nabiera barw dziwnych i blasku.
I ślepy namacał i podniósł... ostrygę,
A ostryg nie znała ta dwójka,
I jeden i drugi chce zabrać ją sobie.
Wybucha wnet zwada i bójka.
Ktoś właśnie przechodził i spostrzegł, jak oni
Spierali się z sobą na drodze —
Odebrał ostrygę i rzekł do zwaśnionych:
„Czekajcie, ja wnet was pogodzę!
Masz każdy z tej pięknej muszelki połowę,
Do równej was części podzielę —
Ja zjem zaś robaka brzydkiego ze środka —
Za pomysł mój żądam niewiele!
Zgodzili się na to, zdziwili się jeszcze,
Że mało tak chciał za fatygę —
Ci, którzy spór wiedli — dostali skorupy,
A ten, co ich godził — ostrygę!!!...

Krk.



W noc wigilijną.

Opowiadanie na tle ostatnich wypadków w Królestwie.

Noc cicha, pełna tajemniczych drżeń, rozesłała się nad miastem.

Ustał gwar dzienny, życie na ulicach zamarło prawie zupełnie; gdzieniegdzie tylko migała w bladem świetle latarni sylwetka człowieka, spiesznie idącego po zmarzłym śniegu. Od czasu do czasu przeciągał ulicami zimny, mroźny wiatr, podnosząc z ziemi kryształne igiełki śniegowe, ścięte mrozem, które niby robaczki świętojańskie wirowały w powietrzu. Niebo zasłane było ciemną powłoką chmur, które przysiadły, zdaje się nad miastem i spowiły je posępną grozy ciemnością.

A jednak była to noc dziwnie majestatyczna, dziwnie uroczysta. Zdało się, że świat cały nagle się odmienił, spoważniał i choć ponury, krył w sobie jakąś świętość.

Okna domów, jasno oświetlone, wskazywały, że całe życie miejskie skoncentrowało się teraz w zaciszu domowego ogniska, że dzień ten miał jakąś dziwną moc w sobie, moc, która każdego przykuwała do rodziny, do swoich, do bratniego kółka.

Była to noc wigilijna.

Przy jednej z odleglejszych ulic Łodzi, zamieszkanych wyłącznie prawie przez robotników, zwracał uwagę skromny, jednopiętrowy dom, jakiś dziwnie samotny i cichy, jakby się wstydził swej starości. Podczas gdy inne domy, nawet mniejsze, gorzały blaskiem świateł i tchnęły jakąś wesołością, urokiem, dom ten był skromnie zaledwie oświetlony, w kilku oknach nawet nie było świateł zupełnie. Ponura troska zdała się go obejmować swemi upiornemi skrzydły.

W małym saloniku na pierwszem piętrze, zajmowanem przez właściciela tej kamienicy, p. Gajewskiego, zebrała się cała rodzina sędziwego fabrykanta. Pan Gajewski, dobrze już siwizną przyprószony staruszek, siedział przy jednym końcu stołu, nakrytego bieluchną serwetą. Przed nim leżały opłatki, tradycyjne owe opłatki, stanowiące pewnego rodzaju świętość w dzień wigilijny w każdej polskiej rodzinie, czy to w złocistych, bogato zdobnych komnatach, czy pod biedną wiejską strzechą, czy w suterenach u nędzarzy. P. Gajewski, przez krewnych i znajomych zwyczajnie z powodu podeszłego wieku patryarchą zwany, siedział w milczeniu, jakby w sennych zatopiony wspomnieniach. Biała jego broda spływała mu na piersi, usta jakby się niewidzialnie poruszały, w oczach gorzały jakieś dziwne blaski.

A może to były łzy?...

Po prawej jego ręce siedziała młoda kobieta, o rysach pięknych, regularnych, przyćmionych jeno jakąś dziwną chmurą melancholii czy troski, która jej białe czoło, przysłonięte puklami jasnych blond włosów, zawczasu poorała bruzdami. Na kolanach jej siedziała dziecina, może dwuletnia, istny cherubinek z niebieskiemi, czarnemi oczyma, bawiąc się koronkami matczynej sukni. Była to jedyna córka pana Gajewskiego, Łucya.

Wyszła ona za mąż przed pięciu laty za młodego lekarza, Wiktora Proszowskiego. Pierwsze lata pożycia minęły im wśród niczem niezamąconego szczęścia. Oboje młodzi, zakochani w sobie, pełni różowych na przyszłość nadziei, stanowili największą pociechę p. Gajewskiego, który zięcia kochał jak własną córkę. W rok po ślubie powiła urocza pani Łucya córeczkę, której dziadek nakazał dać imię to samo, jakie jej matka nosiła. Na chrzcie otrzymała więc dziecina imię Łucyi. W dwa lata później przyszedł na świat synek, Czesław. Radość ojca i dziadka nie miała granic. Pieszczono dziecięta, chuchano na nie poprostu, a one rosły jak na drożdżach. Czesiu umiał już nawet mówić i całymi godzinami szczebiotał na kolanach dziadka.

Mała Łucia siedziała tuż obok matki. Po przeciwnej stronie stołu stało jeszcze jedno nakrycie, nie wiadomo dla kogo przygotowane.

Pan Gajewski przebudził się z zamyślenia. Spojrzał na córkę, na dzieci, szczebioczące z matką i duża łza stoczyła mu się po policzkach. Wstał i chrząknąwszy nieco zwrócił się do córki.

— Niema co czekać dłużej — rzekł suchym głosem, ale znać było, że go ból jakiś wewnątrz pali i gnębi — już się go dzisiaj nie doczekamy. Może zaczniemy wilię.

Pani Łucya spojrzała nań takiemi oczyma, że staruszek zabrał głos znowu, aby ją uspokoić.

— Widzisz, aniołeczku, byłby choć coś napisał, byłby coś dał znać o sobie. Lepiej przestać się łudzić. Wojna, córeczko, pożera ludzi tysiące i nie przebiera nigdy. Wprawdzie Wiktor nie był wymieniony na liście zmarłych w szpitalu, ani na liście zabitych na polu walki, ale przecie, jeśli nie wrócił do dziś dnia, to, gdyby żył, mielibyśmy jaką taką wiadomość od niego. Widocznie legł, jak legło tylu innych, jak legło tysiące młodzieży, pognanej tam, na daleki Wschód, przeciw tym, którzy nam nic nie zawinili, których my nawet nie znamy. Z tem trzeba się pogodzić. Widocznie zginął i nie znaleziono go nawet i może on teraz śpi tam, gdzieś na polach mandżurskich, zdala od swojej ziemi, a wicher mu wyje „wieczny odpoczynek“.

— Wiktorku mój! Wiktorku! — jękła pani Łucya, aż się mały Czesiu przestraszył i również płakać zaczął.

— Trudno, moje dziecko; na nic się lamenty nie zdadzą. I mnie serce pęka, i ja czuję, jak ta niepewność boli. Ale trzeba się uspokoić, dziecino, uspokoić.

Ale i jemu głos uwiązł w gardle.

Pani Proszowska głośno zawodziła. Nie mógł znieść tego staruszek, więc ozwał się znowu:

— Czekaliśmy oboje cudu, dziecinko. Tak, bo jeżeli Wiktor dotychczas nie wrócił, to dlaczegóż właśnie miałby wrócić w samą wigilię?

— O Chryste! Zmiłuj się nademną i nad mojemi dziećmi! — szepnęła złamana bólem kobieta.

A pan Gajewski mówił dalej:

— Wmówiliśmy w siebie, sam nie wiem kiedy i dlaczego, że Wiktor wróci w wigilię. I czekaliśmy go z utęsknieniem i niecierpliwością, przekonani, że Boska Dziecina, schodząc na świat, przywróci tobie męża, mnie prawdziwego syna i podporę. Bóg chciał inaczej a wola Jego jest święta i przeciw niej postępować nie godzi się. Dzisiaj, w tę noc wigilijną, dzisiaj poddajmy się Opatrzności i prośmy jeno Boga, aby się nad duszą jego nad ulitował.

— Dzisiaj właśnie, dzisiaj, w noc wigilijną — szeptała półgłosem pani Łucya — minął rok, jak go nam zabrano. Pamiętam jak dziś. Przyszedł do mnie w mundurze wojskowego lekarza, ucałował dziecięta, wziął Czesia na ręce i podczas, gdy ja łkałam na jego piersi, on pocieszał mnie, że wszystko będzie dobrze, że wróci zdrów do mnie i do dzieci.

— Bóg chciał inaczej — przerwał jej staruszek.

— Jeśli go zabrał do siebie, to..... Nie, nie mogę mówić, ani płakać nie mogę. Gardło mi zaschło zupełnie. Ale ja jeszcze wierzę w cud, wierzę w cud wigilijnej nocy...

— Oby ci Bóg oszczędził złud — rzekł starzec, podchodząc ku niej z opłatkiem — Niech ci życie płynie spokojnie i szczęśliwie.

— Dziękuję ojcu i nawzajem tego samego życzę.

A dziaduś zwrócił się do małego Czesia.

— Cóż, dziecinko, tobie mam życzyć? Rośnij, jak dąb, na pociechę matce i moją — no, ułam opłatka — tak — i na pożytek społeczeństwu. Będziesz Czesiu, co?

A malec odpowiedział:

— Tak, — swoim przeciągłym głosikiem.

— A tobie, Łuciu, tego samego życzę, co Czesiowi. Ucz się dobrze, a tatuś się będzie cieszył tam w niebie.

— Dziękuję dziadzi. Ale ja czuję, że tatuś jest na ziemi, nie w niebie i zdaje mi się, że tatuś dzisiaj wróci.

— Nie wróci, nie... — odparł jej dziadek. Ale w tej chwili usłyszał nieśmiałe pukanie do drzwi Jakto? Czyżby cud się spełniał?

Któżby mógł do nich o tej godzinie przychodzić?

Pytający wzrok skierował starowina na córkę, również tajemniczą ciekawością jakby skamieniałą. Przez małą chwilkę panowała w saloniku taka cisza, że słychać byłoby szelest skrzydeł muchy. Przerwała ją mała Łucia, która podbiegła ku drzwiom i otworzyła je.

Na kurytarzu stał człowiek jakiś wysoki, z długą brodą, który, jak się na pierwszy rzut oka wydawało, z dalekiej dopiero powrócił podróży. W oczach jego płonęła jakaś nienaturalna radość, szeroko rozwarte białka gorzały jakiemś dziwnem szczęściem. Wargi drżały, chcąc widocznie wyrzucić z siebie jakąś radosną nowinę.

— Proszę wejść — rzekło dziewczątko.

— Panienko śliczna, Bóg ci zapłać — wykrztusił przybysz, jakimś od radości aż drżącym głosem i wszedł do saloniku, — a zbliżywszy się do pani Proszowskiej, rzekł:

— Całuję rączki pani dobrodziejki.

Nie odsunęła ręki. Patrzała nań tylko szeroko rozwartemi oczyma, z których czytać było można pytanie: ktoś ty? coś ty za jeden?

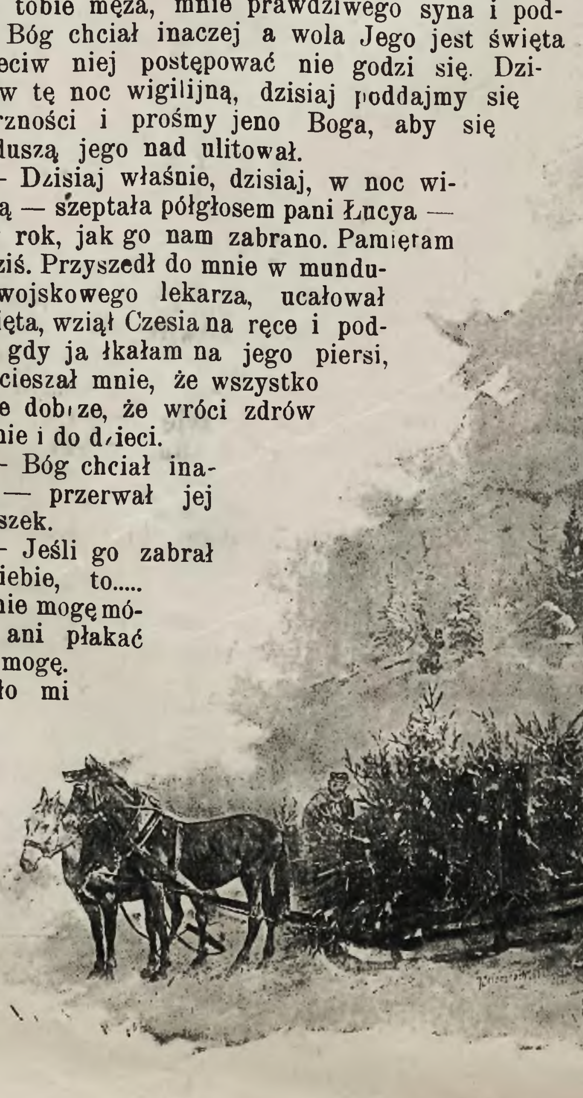
— Ja... chciałem państwu życzyć wszystkiego dobrego w dniu wigilijnym — mówił dalej przybysz, widząc że pan Gajewski patrzał nań zdziwiony, nie odzywając się ani słowem. — Ale państwo mnie nie poznajecie?

— Ktoż wy jesteście? — przerwał mu pan Gajewski.

— Więc mnie pan nie poznał?

— Nie.

— Nic dziwnego. Wojna zmienia ludzi okropnie. Ot i ja byłem dawniej chłop jak dąb, a dziś z trudnością trzymam się na nogach. I w piersiach ciągle kłuje, a ręką jedną i ruszyć nie mogę, bo







jak zmartwiała. — Dziś mnie nawet rodzony ojciec nie pozna. Ta szrama na gębie, ta długa broda zmieniła mnie zupełnie, nawet głos mi się zmienił...

— Więc wy z wojny wracacie? — zawołała szybko pani Proszowska.

— Z wojny, paniusiu, z wojny.

— Dopiero teraz? — Przecie wszyscy już dawno powrócili!

— Kto mógł to wrócił, a byli tacy, co nie mogli.

— Kto wy jesteście? — przerwał pan Gajewski, podchodząc ku nieznajomemu. — Zdaje się, że was znam, a nie mogę sobie dokładnie przypomnieć.

Łzy zabłysły w oczach przybysza.

— Toć ja Jan Brzechwa...

— Brzechwa? — krzyknął starzec — więc wy wracacie z wojny? Witajcież mi w domu i siadajcie, opowiedzcie, może coś wiecie o moim zięciu?

— Mówcie, proszę was, Brzechwo — może co o Wiktorze wiecie? Przecież go znacie? Widzieliście go? — mówiła pani Łucya, drżąc cała ze wzruszenia.

— Żyje tatuś? — spytała jej córeczka, przysuwając się do Brzechwy.

— Żyje dziecinko, żyje. A dlaczego miałby nie żyć — odparł zapytany.

— Więc nie zginął? - zawołała pani Łucya.

— O mało nie zginął, ale żyje. Pod Mukdenem...

— Ciężko był raniony?

— No, ciężko nie ciężko. Ale ja myślałem, że on już wrócił.

— Więc miał wrócić?

— Pisaliśmy przecie obydwaj, że na święta wrócimy.

— Żaden list nie doszedł.

— Pewnie te, psiawiary, nie puszczali listów ze szpitala.

— Więc wy obaj byliście w szpitalu?

— A byliśmy przez kilka miesięcy i lizaliśmy się obydwaj, bośmy już byli bliżej grobu, jak życia.

— Gdzie?

— W Petersburgu. Naprzód w Charbinie leżeliśmy kilkanaście tygodni, potem nas przywieźli do Petersburga, gdzieśmy ledwie z życiem dojechali.

— Ale Wiktor żyje? — przerwała pani Łucya.

— Żyje. Obydwaj wyjechaliśmy kiedyś z Petersburga, akuratnie, żeby tu na wilię przyjechać.

— Więc on tu będzie?

— Ja myślałem, że on tu już jest. Gdzieś mi się w Warszawie zgubił, a ja mam jego pakunek, bo on jeszcze słaby okropnie i przyniosłem go właśnie.

To mówiąc, położył na stole małe zawiniątko. Pani Łucya chwyciła to zawiniątko i drżąc, zaczęła je rozpakowywać. Pan Gajewski tymczasem podszedł do Brzechwy, uścisnął mu ręce i głowę złożył na jego piersi, nie mogąc wstrzymać się od łez.

— A myśmy go już opłakali, jużeśmy mieli za jego duszę się pomodlić, właśnie przed chwileczką.

Wtem z piersi pani Łucyi wydarł się straszny krzyk.

Wszyscy zwrócili oczy na stół, gdzie leżała bluzka zmarłego, okropnie zbluzgana krwią, w kilku miejscach poszarpana.

— To granat, nasz własny granat — rzekł Brzechwa. — Jakeśmy uciekali z Mukdenu, oficerowie stracili głowę i kazali strzelać za nami. Wtedy pan Proszowski i ja zostaliśmy ranni. Dobrze przynajmniej, żeśmy z życiem uszli, bo z takiego potoku ognia i kul trudno było nawet życie unieść.

— Siadajcie, Brzechwo, a mówcie dużo, opowiedzcie, co jest z Wiktorem, gdzie on teraz być może, dużo, dużo mówcie.

— Ba, kiedy i ja muszę iść do rodziny. Ja tylko chciałem odnieść to zawiniątko, tę jego „pamiątkę z wojny“, „śmiertelną koszulę“ — jak pan doktor to nazywał. On tu wróci za chwilę chyba. Jeżeli nie przyjechał tym pociągiem co ja z Warszawy, to wróci następnym, bo mi się w Warszawie gdzieś stracił z oczu. A słaby jest jeszcze okrutnie. Wróci niezadługo. A teraz, bądźcie mi państwo zdrowi. I ja muszę do swoich.

Pożegnał się za chwilę i wyszedł z pokoju.

— A więc cud się spełnił! — zawołała pani Łucya, patrząc za nim.

— Spełnił się cud wigilijny. Czekajmy z opłatkiem — rzekł pan Gajewski, ocierając łzy, obficie płynące po jego troskami i bólem pooranej twarzy.



W małej izdebce, w oficynach domu pana Gajewskiego, radość nie miała granic. Oto przed chwilą powrócił z wojny Jan Brzechwa do żony, do dzieci. Zjawił się jak duch właśnie w chwili, kiedy najmłodszy jego synek modlił się za jego duszę do Bozi. Nie dawał zupełnie znać o sobie, a przecież czytać umiał i pisać, więc się go też już i nie spodziewano nawet.

Dzieci go nie poznały, gdy wszedł do izdebki, ale poznała go zaraz żona, która z krzykiem ku niemu przypadła, ręce mu zarzuciła na szyję i łkając ze wruszenia, nie mówiła nic, jeno jedno jedyne słowo:

— Żyjesz!...

— A żyję Maryś, żyję — odparł Brzechwa, składając na jej czole długi pocałunek. Puśćże mnię Maryś, bo dzieci chcę uściskać. Toćżem ich dwa lata nie widział. Jasiu, pójdźże do mnie! Aleś ty wyrósł chłopcze! No chodź, chodź, nie bój się!

Chłopczyna, drżąc ze strachu, przysunął się do ojca i pocałował go w rękę. Brzechwa chciał go podnieść w górę, ale ręka odmówiła mu posłuszeństwa. Schylił się więc i uściskał chłopczynę.

— A gdzież Stefcia? — przerwał, szukając oczyma po izbie. — Gdzie Stefcia?

Matka, zamiast odpowiedzi, wybuchła gwałtownym płaczem.

— Cóż się stało? Umarła?

— Umarła — rzekła szlochając — zabili ją kozacy.

— Kozacy powiadasz?

— Wpadli tu na dziedziniec i nuż rąbać i siec, kogo znaleźli pod ręką. Stefcia przypadkiem była na dziedzińcu, dostała się pod konie, które ją stratowały na miazgę prawie.

— Kiedyż to było? — spytał głucho Brzechwa.

— W lutym tego roku. 18 lutego. Pamiętam, jak dziś. Sądny dzień był wtedy w Łodzi. Kozacy hulali, jak smoki, żadne krwi. Zabili w ten dzień wielu ludzi w mieście, a ilu poranili? To Bóg sam wiedzieć może.

— Łotry. To wtedy rżnęli nasze dzieci, jak myśmy nad Szaho krew przelewali własną i marzli ze zimna i głodu, wtedy oni mordowali naszych braci i dzieci! A gdzież Bóg? Gdzie pomsta jego?

Trząsł się z oburzenia.

— Chodziły między nami słuchy, że u nas źle się dzieje w kraju, ale nie chcieliśmy wierzyć, nie mogliśmy wierzyć. W Petersburgu nam powiedziano, że to wszystko nieprawda. A gdzież brat mój, gdzie Wicek?

— Także kozacy go zabili na ulicy.

— Więc z czegóż wyście żyli?

— Z łaski pani Proszowskiej i dotychczas z niej żyjemy. A choćby nawet Wicek żył, to i tak musielibyśmy iść żebrać o łaskę, bo fabryki stoją. Wicek ciągle strejkował.

— A więc się wreszcie ruszyli!?

— Tu była rewolucya.

— Niedawnom wrócił do przytomności, a jakem tu jechał z Petersburga, nie wiedziałem sam o czem myśleć i nie pytałem nikogo o nic. Siedzieliśmy obydwaj z panem Proszowskim w milczeniu. Więc była rzeczywiście rewolucya?

— Była....

W tej chwili dał się słyszeć z sąsiedniej izdebki śpiew:

„Boże, coś Polskę przez tak liczne wieki,
Otaczał blaskiem potęgi i chwały“....

Brzechwa stanął jak osłupiały. Oczy otworzył i słuchał. A pieśń płynęła coraz dźwięczniej, coraz podnioślej, nabierała coraz więcej siły i potęgi.

Mały Jaś ukląkł przed obrazem Bogarodzicy i cienkim głosikiem ciągnął pieśń dalej:

„Coś ją ochraniał tarczą swej opieki“...

Głos malca zlał się z głosem sąsiadów i płynął w niebo pełną harmonii melodyą. Brzechwa stał, nie mogąc zrozumieć, jakby szukał światła wśród ciemności. Otworzył usta, chciał coś mówić....

A tymczasem cała kamienica rozbrzmiała pieśnią. Ostatnie słowa zwrotki:

„Przed Twe ołtarze zanosim błaganie,
Ojczyznę, Wolność racz nam wrócić Panie!“

wzbiły się pod niebo już potężną falą z kilkuset piersi ludzkich wydartą i popłynęły do stóp Boga jak huragan błagalny.

— Więc to u nas wolno? Wolno? — szeptał Brzechwa, promieniejąc szczęściem i ledwie trzymając się na nogach.

— Dzisiaj już wolno — odparła żona. — Dzisiaj już wolno! Mamy konstytucyę!

A Brzechwa padł na kolana, wzniósł oczy w niebo i modlił się:

— „Dzięki Ci, o Panie! Dzięki Ci Wszechmocny królów i cesarzów Władco! I nie żal mi już ofiar, które tę wolność życiem opłaciły i sam ległbym z rozkoszą w grobie dla tej wolności. Bądź błogosławiony, Stwórco świata i ludzi!“

Głos mu drżał, gdy mówił te słowa. A tymczasem pieśń płynęła w niebo uroczyście, poważnie, pełna bolu i nadziei, cierpienia i szczęśliwej ufności w moc Pana.





Kiedy zaś wreszcie pieśń przebrzmiała, Brzechwa powstał i rzekł uroczyście:

— W betleemskiej stajence wzeszło dzisiaj słońce wybawienia ludzkości z kajdan ciemnoty. Nocy dzisiejszej wzeszła dla nas, pod jarzmem jęczących, jutrzenka swobody. Boża Dziecina niech nas weźmie w swoją opiekę i nad nami słońce wolności rozpostrze!

I połamawszy się opłatkiem z żoną i jedynem dzieckiem, zanucił pełnym radości głosem:



„Bóg się rodzi, moc truchleje, Pan niebiosów obnażony"...

— — — — — — — — — — — — — — — —

W tejsamej chwili w mieszkaniu p. Gajewskiego zjawił się gość tak przez wszystkich oczekiwany, p. Wiktor Proszowski, osłabiony ogromnie, ale rad i wesół, że wreszcie może odetchnąć przy domowem ognisku, zobaczyć jeszcze ojca, żonę i dziecięta. A pani Łucja, krzątając się koło stołu, szeptała:

— Cud wigilijny się spełnił.

— — — — — — — — — — — — — — — —

Józef Rączkowski.



We własnej sieci.

Współczesna powieść kryminalna.

Z angielskiego przełożył M. S.

32 (Ciąg dalszy).

— Do dyabła, mój panie z pańskiemi dziesięciu tysiącami dolarów! Masz mnie pan za kłamcę, czy co? Powiadam panu wyraźnie jeszcze raz, że Springer prócz owych dwóch tysięcy dolarów w pruskich banknotach nie miał ani grosza przy sobie!

Tak, jakbym nawet nie zauważył, iż twierdzeniem swem przyznał się poniekąd do zbrodni, rzekłem spokojnie dalej:

— Tem gorzej, gdy nic nie znaleziono! Pewnie przezorny starzec zaszył te pieniądze w podszewce swego surduta!

— Także coś! Porzuć pan te dziecińtwa! Przecież on nie mógł był skryć nawet kawałka papieru, któregobym ja był nie znalazł!... Ja nie przyszedłem dopiero wczoraj na świat, mój dobry panie!...

Teraz nie pozostawało mi nic innego, jak śmiało i otwarcie iść naprzód do celu.

— Do stu katów! — krzyknąłem oburzony — toż jabym mu w takim razie nigdy nie pozostawił w kieszeni tych dwóch tysięcy! Szkoda, że mnie tam nie było!..

— Wierzę! bardzo wierzę, mój drogi! Ale my nie należymy do bezmyślnych głupców i gdyby nie chodziło tu o pewną osobę, a przytem i o pewne papiery, to nieboszczyk mógłby jeszcze był pięćdziesiąt lat hulać po tym świecie!...

— Rozumiem! — szepnąłem. — Zapewne on zrobił wam coś złego! Ale my tu w Ameryce zupełnie inaczej załatwiamy takie sprawy!...

— Do dyabła, mój panie! Nie sądź pan z góry o rzeczach, o których nic nie wiesz i których wcale nie rozumiesz! Gdyby ten stary osioł pozostał był w Ameryce, nicby mu się było nie stało, ale w Niemczech, gdzie miał brata, nie potrzebowaliśmy go zupełnie! Mniejby to było przyjemne dla pana Franciszka Springera, gdyby nieboszczyk dowiedział się, co zaszło po jego wyjeździe do Ameryki. Musiał więc zginąć Rudolf Springer, a cała sprawa powinna była przybrać charakter nieszczęśliwego wypadku, aby przypadkiem śledztwo nie natrafiło na nasze tropy! Na tych kilku tysiącach marek nie zależało nam bynajmniej, i sądzę, że miałem niezły pomysł, iż je pozostawiłem w portfelu, a zabrałem tylko papiery!...

— A widzi pan, papiery! Więc pan przyznaje, że znalazł pan czeki, czy papiery wartościowe, o których wspominałem!..

— Co za czeki, co za papiery wartościowe?!... To były kwity jego brata na pieniądze, przesyłane z Ameryki celem przechowania i pokwitowanie z danego w zarząd spadku! Ale po co ja to panu opowiadam?!...

— Możesz pan przestać! możesz pan przestać! — zaśmiałem się z ironią — przecież ja panu nic a nic nie wierzę! Ot, przechwalasz się pan i sprawa skończona! Z miłości dla kogoś nie ryzykuje się nigdy takich rzeczy!...

Moje oświadczenie miało nadspodziewany skutek, bo widocznie trafiłem w jego słabą stronę.

— Hm, do stu katów! Na pozór, to miałbyś pan racyę!... Lecz jabym nigdy nikomu za darmo nic nie zrobił, a już najmniej Franciszkowi Springerowi. Ale złoto, mój kochanku! To przeklęte złoto! za nie i dla niego robi się wszystko! A zapłacić, to oni mi jeszcze dobrze zapłacą!...

— I! z zapaceniem po robocie, to już ciężko bywa! — uśmiechnąłem się lekceważąco — jak cię mają już w ręku, to zbędą lada czem i koniec!

— Ba! ba! To zależy tylko od tego, czy mają do czynienia z głupcem! Ale jeśli oni, choć sami chytrzy, natrafili na jeszcze chytrzejszego, to muszą beknąć grubo. A czyż ty myślisz, że ja oddałem im naprawdę te papiery? Chyba mnie masz za głupca?! A pocóżby to człowiek ślęczał i uczył się kopiować takie rzeczy, gdyby później nie myślał z tego korzystać? Całą noc po tej historyi spędziłem na kopiowaniu, a na drugi dzień poczciwy pan Franciszek Springer musiał mi ciężki grosz wyłożyć za te falsyfikaty! Skąpy on jest, to prawda i za przysługę, którą mu wyświadczyłem, zbyt mało zapłacił, ale gdy mu autentyczne kwity wetknę pod nos, da mi z pewnością tyle, ile tylko zażądam!...

— Czy ten Franciszek jest naprawdę taki bogaty?!...

— Spodziewam się! Przecież schował do kieszeni cały spadek brata, a oprócz tego paręset tysięcy dolarów, które mu przysłał ten idyota Rudolf z Ameryki celem przechowania. Zdaje się, że takim mająteczkiem można już gospodarować! A zresztą, choćby on nawet jutro zbankrutował, to ja i tak dostałbym swoje! Jest tam jego towarzysz, przyjaciel i wspólnik, pewien pan doktor, którego mam w ręku tak samo, jak Springera, i w danym wypadku pan doktor pewnieby się zgodził, żebym mu upuścił krwi troszkę!...

— Doktor? A cóż doktor może mieć wspólnego z tem wszystkiem?

— Ba, przyjacielu! Trochę jesteś za ciekawy! Doktor jest doktor, i na tem sprawa skończona!

— Dobrze! — odpowiedziałem całkiem obojętnie. — Sam mam teraz zbyt wiele do czynienia, sam zanadto muszę pilnować własnej skóry, żebym się chciał troszczyć o obce interesy! Ale jeśli masz mnie pan za takiego idyotę, który w to wszystko uwierzy, grubo się mylisz, mój kochany! Żeby tacy dwaj wyrafinowani łotrzy odkupili od ciebie falsyfikaty, jako autentyczne, które przecież sami wystawiali, w to nie uwierzę nigdy na świecie!

— Daj mi pan kawałek papieru, daj mi pan wzór pisma i godzinę czasu na skopiowanie, a zakładam się o tysiąc dolarów przeciw dziesięciu, że nie odróżnisz potem oryginału od kopii. Ba! co to znaczy pan! Nawet sądowi rzeczoznawcy nigdy nie zdołają tego rozpoznać!...

Potężnym haustem wypił resztę wina ze szklanki, a ja podniosłem się, żeby zamówić u kelnera nowy zapas flaszek, przy pomocy których miałem nadzieję skłonić go do innych, dalszych zeznań. Ale gdy powróciłem, spostrzegłem ze smutkiem, że trunek pokonał mego pana Anglika. Mister Parker spał jak zabity i musiałem moje piękne nadzieje złożyć do grobu!

— Więc niczego więcej nie zdołałeś się pan dowiedzieć?

— Niestety! Drugi raz bałem się powtarzać ten eksperyment, bo przedewszystkiem chodziło mi o to, aby zbrodniarz nie zaczął mnie podejrzywać przypadkiem!

— A nie myślał pan o tem, aby kazać go uwięzić natychmiast?

— To była pierwsza myśl, która powstała mi w głowie, ale nie wypełniłem jej wcale! Nie miałem przecież żadnego dowodu w ręku, a on wypierałby się z pewnością wszystkiego, zaś zeznania, jakie poczynił mi po pijanemu i to zeznania, których nikt, prócz mnie, nie słyszał, nie pomogłyby mi chyba do wygrania sprawy!

Komisarz ze zdziwieniem popatrzył się na młodego Amerykanina.

— Doprawdy! dziwi mnie ta przezorność, z jaką wziąłeś się pan do rzeczy. Zachowywałeś się pan jak stary, wytrawny detektyw! Ale opowiadaj pan dalej, bo słucham z ogromną ciekawością!...

— Zawiedzie się pan, panie komisarzu, bo ja już kończę. Nazajutrz przed południem odwiedziłem Parkera w jego hotelu. Leżał jeszcze w łóżku i widocznie przebudził się dopiero, ale na mój widok musiał przypomnieć sobie wypadki z ubiegłej nocy, bo patrzał mi bystro w oczy i w całym szeregu, na pozór nieznaczących pytań, chciał zbadać, co myślę o tem wszystkiem i jak będę postępować. Ale ja trzymałem się bardzo dobrze. Skarżyłem się naprzód na ból głowy, potem na to, że nie mogę wypić flaszki wina, żeby zaraz nie opowiadać wszystkich moich historyi i w końcu zacząłem go błagać, aby przed nikim nie wspominał o tem, z czem mu zwierzyłem się tak otwarcie. Mimo tego manewru, trudno go było uspokoić, ale ponieważ dobrze odegrałem mą rolę i nie dałem poznać po sobie, że wyspowiadał mi się ze wszystkich swoich tajemnic, przyszedł ostatecznie do przekonania, że ta wczorajsza spowiedź śniła mu się po pijanemu i z całą godnością sztywnego Anglika dał mi słowo, że zwierzenia moje zachowa tylko dla siebie i nik mu ich nie będzie powtarzać.

Rozstaliśmy się. Ja czemprędzej spakowałem najpotrzebniejsze moje manatki i aby zmylić pana Parkera, ruszyłem najpierw w głąb Ameryki, potem zaś skierowałem się do Nowego Jorku, tam wsiadłem na okręt a wczoraj wylądowałem w Hamburgu. Oto koniec tej całej historyi, panie komisarzu i na tych danych musimy oprzeć nasze dalsze operacye.

Berman nie odpowiedział zaraz, ale oparłszy głowę na rękach, dumał czas jakiś — w końcu odezwał się wolno:

(Ciąg dalszy nastąpi).

Plotki lwowskie.

(Ze sali sądowej. — P. Grąbczewski oskarżony. — Sąd przysięgłych, prokurator i obrońca - Obrona dra Klaki. — Bezpodstawne zarzuty. — Wieża Babel operowa — Składniki opinii publicznej. — Praca, publiczność i Klaka. — Czy to absolutoryum? — Okoliczności łagodzące — Wyrok uwalniający. — Ruch przedświąteczny. — Pilne sprawy magistrackie. — Kilkanaście nowych szynków, jako przyczynek do estetyki miasta. — Radny szynkarzem. — Czas środkowoeuropejski. — 36 minut osierociałych. — Przez sztukę do bufetu, czyli jak Naftuła junior przejdzie do historyi. — Życzenia przy opłatku. — Czego Wam nie życzę).

Dzisiejszą kronikę rozpoczynam sprawozdaniem ze sali sądowo-artystycznej.

Przed trybunałem opinii publicznej t. j. przysięgłych czy zaprzysiężonych sędziów muzyki, śpiewu i wszelakiego fortepiaństwa pod przewodnictwem dyrektora Pawlikowskiego, stanął jako oskarżony p. Wiktor Grąbczewski, kierownik opery lwowskiej, stanu i t. d., lat i t. d., religii i t. d., rodem i t. d., niekarany, obwiniony w niniejszym procesie o szerzenie włoszczyzny, złe obchodzenie się ze śpiewakami, lekceważenie opinii publicznej i autorytetów i szerzenie absolutyzmu w teatralnem państwie konstytucyjnem.

Po kilkakrotnych wywodach generalnych prokuratorów Galla i Niewiadomskiego w myśl powyższego aktu oskarżenia, zabiera głos obrońca oskarżonego dr. Klaka:

„Wysoki Trybunale, szanowni panowie przysięgli! Już na samym początku mojej obrony muszę niestety zauważyć, że całe śledztwo wstępne było wadliwe, a całe oskarżenie bezpostawne.

Oto stoi przed nami człowiek, który przywędrował do naszego miasta poprzedzony sławą swego imienia i reklamą swoich wielbicieli, ufny w potęgę swego głosu do śpiewu i swego głosu do rozkazywania, a mimo tych zalet niezaprzeczonych, jakieś fatum od samego początku go prześladuje, aż wreszcie postawiło go dziś w niezasłużony stan oskarżenia.

I pytam was, szanowni panowie przysięgli, czem zawinił oskarżony? Akt oskarżenia zarzuca mu szerzenie włoszczyzny... Bądźmy sprawiedliwi, panowie! Czy język włoski nie jest tak pięknym, jak polski? Czy nie jest on językiem Dantego? Czy szerzenie znajomości języków obcych nie zasługuje raczej na gorącą pochwałę? Słysząc słowa włoskie ze sceny narodowej, przenosimy się bodaj na krótki czas myślą z naszego Lwowa do pięknej Wenecyi, Florencyi, Medyolanu, a za tanie stosunkowo pieniądze odbywamy małą podróż naokoło świata, bo słysząc śpiew panny Boyer sądzimy, że jesteśmy w Paryżu, pan Grąbczewski śpiewając po włosku przypomina nam Warszawę, p. Luce — Włochy, p. Czelański — Czechy, p. Jeromin i Szymański — Lwów, p. Okoński — Kołomyję, p. Janicki — Ukrainę, chór — Chrzanów, nasi sąsiedzi na fotelach — Pipidówkę, klaka — Abderę lub Honolulu, a wszystko razem wieżę babilońską, czyli lwowską kawiarnię teatralną...

Drugim zarzutem jest złe obchodzenie się ze śpiewakami. Złe obchodzenie się jest pojęciem elastycznem. Nie słyszeliśmy dotąd, żeby p. Grąbczewski któregoś ze śpiewaków lub śpiewaczek rozmyślnie pokąsał, żeby kogoś zamordował, albo bodaj skaleczył lub nawet dotkliwie szturknął. Nie może mu być za złe poczytane, że tylko na kilka występów angażuje ludzi, bo, mając do wyboru tylu artystów, chce i innym dać sposób ość do popisu i zarobku, więc jedni muszą ustępować drugim. Obcych zaś angażuje, ażeby swojscy się na nich kształcili bez wydatków na zagraniczne podróże. Przecież i w Colosseum zmieniają co 14 dni „artystów“ i sprowadzają ich wyłącznie z zagranicy, a dlaczego dzienniki całkiem jawnie to nawet wychwalają? Czy możecie panowie żądać dla Colosseum większych przywilejów, aniżeli dla swojskiej narodowej opery?

Największym zarzutem wydawałby się ostatni, a raczej połączenie dwóch zarzutów: lekceważenie opinii i rządy absolutne w teatrze. Moi panowie, to już jest owo fatum, o którem wspomniałem na początku mojej obrony. Inaczej tego nazwać nie można, skoro dzienniki pomimo powyższych zalet pana Grąbczewskiego, nie przestają go szarpać, wymyślając mu od chórzystów, oberpolicmajstrów i... tenorów. Przedewszystkiem nieprawdą jest, jakoby p. Grąbczewski był tenorem, natomiast prawdą jest, że artysta ten, jakkolwiek ma wielkie szanse na tenora, na scenie jest tylko jasnym barytonem. A potem, czem jest ta opinia publiczna? Składa się ona we Lwowie specyalnie z dwóch, a w ostatnim sezonie operowym z trzech czynników. Pierwszym są recenzenci, którzy piszą i pouczają ten drugi czynnik t. j. publiczność, co i jak ma sądzić o danej sztuce. Pierwsi robią swoje — piszą, drudzy, czytelnicy, nie czytają i robią też swoje t. j. chodzą do teatru. Bo we Lwowie dzienniki się pisze, drukuje, konfiskuje, okłamuje, sprzedaje, pożycza, kradnie, beszta, ale się ich nie czyta. *Gros* nie czyta dzienników! Więc p. Grąbczewski może śmiało lekceważyć dzienniki — dzisiejszego prokuratora — skoro ma za sobą drugi ważniejszy czynnik opinii t. j. publiczność, czyli was panowie przysięgli, którzy macie dziś wyrokować i trzeci czynnik najważniejszy i najnowszy zarazem, bo zorganizowany dopiero w tym sezonie operowym t. j. wszechmocną klakę, której reprezentantem ja jestem, dr. Klaka, obrońca i patron artystów, spieszący za pieniądze na ich zawołanie, ile razy prokuratorzy-recenzenci zagrażają komuś, a sędziowie przysięgli-publika zaczynają dawać posłuch podszeptom recenzentów. Czy zaś p. Grąbczewski istotnie lekceważy opinię, niech odpowie ten trzeci najważniejszy czynnik lwowskiej opinii, która po każdej aryi dwadzieścia razy wywołuje p. Grąbczewskiego, że aż kurtyna ze zmęczenia furczy, jak zepsuty samowar rosyjski.

W końcu co do zarzuconych mu zasad absolutyzmu, to one stanowczo nie zasługują na potępienie. Czy można się dziwić p. Grąbczewskiemu, że wychowany w rosyjskiej karności, widząc jej błogie skutki tak w czasie wojny, jak podczas pokoju, zapragnął w szeregach swoich żołnierzy i rozśpiewanych amazonek widzieć tęsamą karność spartańską. Nie zapominajmy jednak, że nikogo dotąd nie wysłał na Sybir, że zaledwie kilku swoich ludzi napędził, ale dał im zupełną swobodę pod względem wyboru miejsca, że wprawdzie skazał cały chór na ciężkie roboty, jednak za te roboty płaci od 15 — 30 złr. miesięcznie i więcej, że wprawdzie krzyczy tyle, co w Rosyi, ale nie strzela, nie aresztuje, nie wiesza.

Tak przedstawia się cały akt oskarżenia, a po tem przedstawieniu faktycznego stanu rzeczy, sądzę, że udało mi się przekonać panów o niewinności mojego klienta. Zechciejcie nadto panowie uwzględnić z licznych okoliczności łagodzących tylko dwie: Oto człowiek, który przy swoim znanym temperamencie mógłby może być i generał-gubernatorem Warszawy, podejmuje się z pobudek patryotycznych, w ukochaniu sztuki narodowej za marnych pięć czy sześć tysięcy niewdzięczną gaży śpiewać co drugi wieczór przed niewdzięczną opinią publiczną i klaką galeryi, której trzeba jeszcze płacić osobno. Drugą okolicznością łagodzącą jest — i to podkreślam, że p. Grąbczewski jest śpiewakiem. A śpiewakowi wybacza się wiele... Skończyłem“.

Burza oklasków była nagrodą obrońcy. Zwyciężył! Sędziowie wydali jednomyślnie werdykt uniewinniający, a po zewnętrznej naradzie cały trybunału, p. Pawlikowski, ogłosił wyrok, uwalniający p. Grąbczewskiego od winy i kary. Ten wyrok zadecydował zarazem o przyszłem stanowisku i powodzeniu nie tylko p. Grąbczewskiego, ale i Klaki. Pomoc tego obrońcy okazała się fenomenalną. Wszyscy adwokaci w kąt! Aschkenaze, Grek, Loewenstein niech się zapiszą na lekcye....

Prawie połowa kroniki zeszła mi na pobieżnem sprawozdaniu z tak interesującego procesu, a tu tyle tematów i tyle sprawunków przedświątecznych czeka....

Ruch w mieście nadzwyczajny, jak zwykle przed świętami. Nic dziwnego. Tyle żołądków ma świątkować! Rozpoczął się już masowy mord wołów, koni i drobiu... Pogrom bydła niebywały, rozchwytywanie towarów w handlach nie do opisania, kłopot matek i gospodyń nie do uwierzenia, poty ojców rodziny nie do zniesienia, zaciętość niechcących dawać na „puf“ kupców nie do przebaczenia..., Banki z pobudek więcej ogólno-ludzkich, humanitarnych, w imię miłości bliźniego eskontują weksle przedświąteczne dla podirzymania tradycyjnego nastroju, całe rodziny ściągają do Lwowa, aby sobie użyć, a krewnym lwowskim uprzyjemnić święta, młodzież rozjeżdża się do domów, stolica zmienia fizygnomię, zmienia ludzi, zmienia nastrój, tylko nie zmienia błota, które jest takie, jakie było przedtem, jakie jest zawsze, ile razy niema kurzu i śniegu.

Jeszcze przed świętami załatwiliśmy kilka nader pilnych spraw, nie cierpiących zwłoki. I tak magistrat lwowski uznał liczbę szynków we Lwowie za absolutnie niewystarczającą na potrzeby mieszkańców i wydał w tym tygodniu jeszcze kilkanaście nowych koncesyj szynkarskich, czem zasłużył się wielce około dobra miasta i jego ludności. Nowe bowiem szynki przyczynią się niewątpliwie do podniesienia moralnego poziomu miasta, a nadto wygląd estetyczny naszych ulic zapewne także dużo zyska. Trzeba bowiem przyznać, że jest jeszcze kilka kamienic we Lwowie, gdzie niema żadnego szynku. Te to właśnie kamienice psują jednolity wygląd ulic, a magistrat już więcej ze względów estetycznych dąży do zaprowadzenia równowagi. Wkrótce każdy dom mieć będzie swój własny szynk tak, jak ma swój własny numer, swego stróża i inne rzeczy, które stanowią jego własność.

Sprawa ta była tem pilniejszą, że wobec zbliżających się świąt zapotrzebowanie będzie znacznie większe, a magistrat lwowski nie chce, by Lwowianie skarżyli się na braki. Między innymi dostał koncesyę szynkarską jeden z rajców miejskich, aby dać przykład, że żadne honory, dostojeństwa i godności publiczne nie powinny być przeszkodą w szukaniu zarobku i pracy uczciwej....

Prócz tego uchwalono nareszcie zaprowadzić we Lwowie czas środkowo-europejski, dzięki której to okoliczności rok bieżący skończy się punktualnie 31 grudnia o godzinie 12 w nocy podług teraźniejszego czasu, potem nastąpi 36 minut, których nie zaliczamy ani do bieżącego roku, ani do przyszłego, a dopiero po tych 36 minutach rozpoczniemy rok 1906, już podług czasu środkowo-europejskiego, co będzie pierwszym, a może nawet i jedynym znakiem, że mieszkamy w środkowej Europie. Co zrobić z owemi 36 minutami, których nie chce uwzględnić ani dawna rachuba, ani nowa, nad tem łamią sobie głowy wszyscy lwowscy myśliciele nadaremnie. Rada miasta bowiem uchwaliła krótko, zaprowadzić nowy czas z dniem 1 stycznia, nic zresztą nie stanowiąc co do owych osieroconych 36 minut. A 36 minut to znów nie taka bagatelka, jakby się zdawało pierwszemu lepszemu profesorowi uniwersytetu, który o tyle minut właśnie spaźnia się regularnie na wykład. Nie eden mając 36 minut do namysłu nie zastrzeliłby się może, nie ożeniłby się, nie żyrowałby weksla, niejeden znów, nie mając owych 36 minut, czyli spóźniwszy się o tyle minut, nie pojechałby, nie wykoleiłby się, nie zastał już swego dłużnika, który dopiero co drapnął, nie znalazł ukochanej, która zaprosił na randkę.... Krótko: 36 minut to kawał czasu, którego lekceważyć nie można.... Proszę się zastanowić.

Ale dobrze, że choć pod tym względem będziemy środkową Europą od Nowego roku, a to także coś znaczy. Zresztą wpłynie ta nowość na niejedną zmianę i wywoła w życiu codziennem małą rewolucyę *sui generis*. Ilu to ludzi spóźni się do pociągów kolejowych, ilu przyjdzie za wcześnie! Zwłaszcza kobiety! Te, u których nigdy zegarczki nie chodzą, a jeśli przypadkiem chodzą, to zawsze o kilka godzin za wcześnie lub za późno.... Znam nawet takie panie, u których zegarki idą wstecz.... Według tych zegarków obliczają podobno nasze pię ne panie swoje wiosny.

Nie chcę zresztą zbyt rozwodzić się nad tem, co dopiero w przyszłym roku będzie, zostawiając to na potem. Dziś miałem jeszcze słów kilka poświęcić p. Michałowi Toepferowi, który ma gust i zamiar otrzymać bufet w lwowskim ratuszu dla radnych i urzędników magistratu. Kiedy Naftuła junior ofiarował miastu przed kilkoma miesiącami słynną galeryę obrazów, stał się głośnym, a jego koledzy po bombie pozółkli z zazdrości, że p. Naftuła tak tanim kosztem przejdzie do historyi lwowskiej sztuki. Nie mogli tylko zrozumieć, co go skłoniło do takiej hojności. Dziś, gdy, p. Toepfer wniósł ofertę na bufet magistracki, zrozumieli dopiero wszystko i mówią: „Niech tego Michasia piorun rąbnie — on ma rozum pod tą łysiną!“ No, i o ile który z celniejszych radnych sam nie obejmie bufetu — bo zawsze radny ma „for“, — to gotów go otrzymać p. Toepfer. Patrzcie państwo, a mówią, że sztuka w Galicyi nie popłaca! Trzeba tylko mieć rozum, to wszystko, popłaca nawet... nawet radziectwo.

W końcu pozwólcie mi, szanowni Czytelnicy, że z okazyi świąt obecnych do życzeń, jakich zapewne dużo się nasłuchacie przy opłatku, przeszlę Wam *via* „Nowości“ i moje życzenia. Życzę Wam jednak tak wiele dobrego, że za dużo byłoby wyliczać — wyliczę więc tylko to, czego Wam nie życzę:

Nie życzę Wam mieszkać we Lwowie ani w kryminale, nie życzę, byście się poświęcili sztuce i występowali pod dyrekcyą p. Grąbczewskiego; nie życzę Wam, byście pisali i żyli z literatury (po 5 ct. od wiersza) i sztuk pięknych (sprzedając obrazy n Naftuły); nie życzę Wam, byście do kawiarń lwowskich przychodzili z nowymi paltotami, byście jedli koninę na kunerolu, byście się



Z rewolucyi w Sebastopolu: Gubernator sebastopolski, admirał Czuchnin, odbywający przegląd wojsk wiernych.

stykali z lwowską administracyą podatków i policyą, by Wydział krajowy odznaczył Wasz dramat, byście podczas deszczu zmuszeni byli chodzić po lwowskich trotoarach, byście podróżowali w wagonie III. klasy na galicyjskich kolejach, taksamo nie życzę Wam, byście przy lwowskiej drożyźnie zbytecznie się roztyli lub zanadto schudli, choć i to jest pojęciem względnem, bo np. pan Ferdynand Feldman twierdzi, że w ostatnim czasie bardzo schudł, podczas gdy panna Zielińska utrzymuje, że się bardzo roztyła — a porównajcie tych dwoje...

Klewe.

Wojna z Hererami.

Niema może na świecie narodu bardziej łakomego na ziemię, bardziej zaborczego, jak Prusacy. Tradycye Krzyżaków, tego postrachu północnej Europy w czasach średniowiecza, przyjęli bez zmian Prusacy, ich dziedzice i następcy, a największy Krzyżak XX wieku, osławiony Bismark, postawił zaborczość i ucisk jako najświętsze przykazanie każdego rządu w Prusach. Polityki zaborczości i ucisku trzyma się też i rząd obecny, ze słynnym cesarzem wielomówcą na czele i ta polityka stała się przyczyną wojny, jaka od roku już gorzeje w Afryce, gdzie kultura państwa „miłości i bojaźni Bożej“ zapuściła swoje sieci. — Niemcom nie chodzi bynajmniej o szerzenie kultury w krajach afrykańskich. Nie — im chodzi o wydarcie wolnym plemionom murzyńskim ziemi i majątku, im chodzi o wywłaszczenie tubylców z ziemi, na której chcą przemocą zatknąć sztandar z czarnym orłem.

Ale trafiła kosa na kamień. Hererzy, aczkolwiek liczebnie bardzo słabi, okazali że wolność cenią więcej jak życie i w wojnie przeszło rok trwającej, dali dowód, że umieją i potrafią się bronić przeciw najeźdźcy.

Rząd pruski sądził z początku, że wystarczy wysłać do Afryki kilka batalionów żołnierzy z wąsami à la Wilhelm, a Hererzy i ich sprzymierzeńcy pierzchną na sam ich widok. Tymczasem Hererzy nietylko, że nie przestraszyli się niemieckich junaków, ale raz po razu zadawali im srogie cięgi, rozbijali w puch całe oddziały, zabierali im armaty i naboje, tak, że w końcu strzelali do Niemców ich własnemi kulami. Na stepach afrykańskich legło parę tysięcy żołnierzy i mnóstwo oficerów niemieckich, a Hererzy bronili się jeszcze dalej i prowadzili wojnę podjazdową z kolosalnem powodzeniem. Rząd niemiecki wysyłał do Afryki coraz nowe zastępy, które tam ginęły i marły, a czarny orzeł strzępił coraz bardziej swoje wojownicze skrzydła, nie mogąc podołać ludom dzikim, zamiłowanym w wolności i bijącym się jak lwy.

Ostatecznie jednak Niemcy, jak doniósł niedawno ich główno dowodzący generał Lindequist, zdołali podobno przełamać opór Hererów i zdobyli ich stolicę Windhuk. Hererów było mało, sprzymierzeńcy ich Hotentoci, równie ż liczbą nie dopisali, bohaterscy obrońcy wolności topnieli z dniem każdym, aż nareszcie upadli. Czarny orzeł zwyciężył, ale zwycięstwo to okupił bardzo drogo, może za drogo nawet.

* * *

W uzupełnieniu artykułu podajemy obok ilustracye, przedstawiające: jedna przewożenie armat z dworca w Swandskop, druga oddział Hererów, wzięty do niewoli i strzeżony przez Niemców.

Z rewolucyi w Sebastopolu.

Ze wszystkich faz rewolucyi rosyjskiej, najgroźniejszą była dla rządu ostatnia, mianowicie rewolucya wojskowa, jaka już po ogłoszeniu manifestu konstytucyjnego zawrzała w Sebastopolu. Była ona tem groźniejszą, że okazywała jawnie, iż rząd stracił już zupełnie grunt pod nogami, stracił najpewniejszą swoją podporę i nagle ujrzał przed sobą przepaść, której się tak obawiał. Bo rząd zdawał sobie doskonale sprawę z tego, że rewolucya wojskowa jest zaraźliwą i że za przykładem Sebastopola pójdą i inne miasta, jak się rzeczywiście stało. W ostatnich tygodniach nie było prawie dnia, w którymby dzienniki nie doniosły o nowych wybuchach buntu i niepokojów w rozmaitych pułkach. Doszło do tego, że nawet kozacy, te filary reakcyi, podniosły głowę i w kilku miejscach oświadczyli, że nie będą walczyć z ludem, ani z towarzyszami, którzy obecnie podnieśli oręż przeciw gwałtom i bezprawiom.

Rewolucyę sebastopolską zgniótł admirał Czuchnin po kilkudniowych krwawych walkach ze zbuntowanymi. Zgniótł ją dlatego, że nie cały garnizon sebastopolski przyłączył się do rewolucyonistów, że płomień rewolucyi nie ogarnął całego wojska. Znalazły się bowiem całe pułki, które pozostały jeszcze wierne rządowi i które stanęły w obronie zagrożonego rewolucyą wojsk zbuntowanych Sebastopola. Oficerowie i sztab generalny nie szczędzą też pracy i zabiegów, aby wojska, wierne rządowi, przekonać o niesłuszności żądań rewolucyonistów, aby w nie wpoić nienawiść do „buntowników“. Naturalnie praca ich nie poszła na marne. Admirał Czuchnin, który otrzymał polecenie zgniecenia rewolucyi, sam osobiście odbywał codziennie przegląd wojsk wiernych, sam zachęcał żołnierzy do walki z „buntownikami“, a fakt ten, że sam głównodowodzący osobiście „raczył“ przemawiać do prostych żołnierzy, musiał wpłynąć na to, że ci żołnierze gotowi byli zginąć, i zawsze pozostali wierni rządowi.

Żołnierzy i oficerów, padłych w walce z buntownikami, chowano z nadzwyczajnemi uroczystościami. Zwłoki ich wystawione były w wielkiej sali szpitalnej i pokryte kwieciem. Oberpolicmajster osobiście przychodził odwiedzać zwłoki i sam modlił się za nie. To dodawało uroku walce z rewolucyonistami i zapalić musiało odwagę wojsk wiernych, dzięki temu więc rewolucya została zgnieciona.

Ale jak było do przewidzenia, rewolucya ta, będąca niejako drugim okresem słynnej epopei Potemkinowskiej, nich pozostała bez echa. W trzecim dniu buntu marynarzy sebostopolskich nadeszły już z kilkunastu miejscowości w Rosyi groźne wieści o buntach wojska. Zgnieciono je tak samo, jak zgnieciono rewolucyę w Sebastopolu. Jednak ślady tej rewolucyi nie dadzą się tak łatwo zatrzeć i niedawno jeszcze miasto Sebastopol, kwitnące życiem, wrące od ruchu handlowego — będzie potrzebowało kilku lat, zanim wróci do dawnych warunków i odbuduje się na nowo.

* * *

W uzupełnieniu artykułu podajemy obok ilustracye, z których jedna przedstawia admirała Czuchnina, odbywającego przegląd wojsk wiernych zawsze, druga policmajstra i popa przy zwłokach zabitych przez rewolucyonistów dwóch oficerów na pancerniku „Oczakow“.



Z rewolucyi w Sebastapolu: Oberpolicmajster sebastopolski przy zwłokach zabitych przez rewolucyonistów na pancerniku „Oczakow“ oficerów.

Magdalena Micińska.

Cicha, skromna — a co za tem idzie w warunkach jakich żył dramat polski w Warszawie — pokrzywdzona, Magdalena Micińska zdołała „wykołatać“ u dyrekcyi rządowej poranek jubileuszowy po 40 kilku latach pracy uczciwej, sumiennej i nieprzerwanej na scenie.

Po raz pierwszy nazwisko Micińskiej spotykamy w r. 1858 dnia 1 stycznia. Było to w Warszawie, a z datą tą, pamiętną dla jubilatki, łączy się dla nas, warszawiaków, data pierwszego widowiska „Halki“ Moniuszkowskiej.

Od tej chwili Micińska nie schodzi już ze sceny, a w trzy lata niespełna po debiucie, przechodzi na stałe do dramatu, wnosząc ze sobą urodę, humor i szczery temperament sceniczny.

Gra jej błyskotliwa, wyrazista w plastyce, jak to było we zwyczaju wonczas, jedna artystce duże pochwały i duże wróży nadzieje...

Zwolna — z lat biegiem — Micińska przechodzi do ról charakterystyczno-komicznych. Zaznaczyć tu jednak potrzeba, że „przejście“ to z amantek do ciotek i mam uciesznych, odbyło się u Micińskiej bez „złorzeczeń. spazmów i pomsty na reżysera“ — jak to obecnie bywa we zwyczaju. Artystka z całym zapałem oddaje się nowemu *emploi*.

Wynikiem pracy tej były kreacye tej miary, co Eufrozyny w „Skąpcu“ Moliera, Prudencyi w „Damie kameliowej“ Dumasa (syna), Jowialskiej w „Panu Jowialskim“ Fredry (ojca), Rozalii w „Safandułach“ W. Sardoua, Tykalskiej w „Panu Damazym“ Blizińskiego, Doroty w „Grubych rybach“ M. Bałuckiego, Dyndalskiej w „Damach i huzarach“ Fredry (ojca), Zawilskiej w „Pierwszym balu“ Z. Przybylskiego, Baby Jagi w „Dzwonie zatopionym“ G. Hauptmana, żebraczki w „Sobótkach“ Sudermana i t. d.

Micińska, prócz talentu, o którym świadczą wymienione kreacye, wyróżniała się zawsze pracowitością i sumiennością. Żadnej roli nie zlekceważyła, żadnej nie popsuła przez brak należytego opracowania pamięciowego.

To wielki atut w rękach artystki warszawskiej, tem większy, iż — niedoceniany tam, gdzie oceny w pierwszym rzędzie spodziewać się należało.

Przy drakońskiej gospodarce w teatrach warszawskich, Micińska padała ustawicznie ofiarą t. zw. „oszczędności budżetowej“... Dyrekcya, pragnąc mieć pieniądzy jak najwięcej dla siebie i dla swoich „protegowanych“, co rok obcinała jej pensyę.

Doszło do tego, że dziś Micińska po 48 latach pracy, mniejsze ma wynagrodzenie niż... stróż teatralny.

To fakt, nie farsa.

W dniu 31 b. m. odbędzie się w teatrze Wielkim poranek benefisowo-jubileuszowy zasłużonej pracowniczki...

Popłynie hołd i grosz — niewątpliwie... Do gromkich oklasków i serdecznych życzeń dołączę wówczas jedno... Niechże dla naszych drogich i zmęczonych wiekiem artystów jak najprędzej powstanie Kasa emerytalna, aby po latach pracy, gdy młodość minie, a siły twórcze ustaną, mieli dach nad głową i kęs chleba pewny.

Aby nie drżeli w noce zimowe, pytając, co dalej będzie, zgnębieni mroźnego jutra niepewnością, lub zostawieni na łaskę różnych panów Szelmanów!

Lubicz.



Magdalena Micińska w roli „Rozalii“ z komedyi W. Sardou „Sanfanduły“.



Wieczór klasyczny urządzony przez młodzież akademicką dnia 11 grudnia 1905: „Cyklop“, dramat satyryczny Eurypidesa, przekład Kasprowicza, „Rycerze“ komedya Arystofanesa, przekład Józefa Szujskiego. „Jegomość pan Rej w Babinie“, świecka krotofila w trzech sprawach Adolfa Nowoczyńskiego. (Premiera z dnia 16 grudnia 1905.)

Przed zapełnionym teatrem, odegrała młodzież akademicka dwa klasyczne dzieła, na zawsze piękne w swej prostocie i prawdzie, zawsze świeże i górujące nad szarzyzną znacznej części utworów, które wychodzą z pod pióra współczesnych, przekrzyczanych wielkości.

W teatrze panował niezwyczajny, uroczysty nastrój, oczekiwanie jakby czegoś nieznanego i nowego, choć potężny „Cyklop“ i pełna siły komedya „Rycerze“ są własnością cywilizowanej ludzkości od lat tysięcy. Istotnie za mało i zbyt rzadko przypominamy sobie te wspaniałe perły twórczości ludzkiej fantazyi, z epoki jej najwspanialszego rozkwitu, za wieków żywego życia cudnej Hellady.

Młodzieży akademickiej należy się uznanie, za zbudzenie tych piękności i rozłożenie ich przed oczyma dzisiejszej publiczności w szacie barwnej, zrozumiałej, wymownie się tłómaczącej.

Całość nastroju uzupełniała muzyka starogrecka, wykonana poprawnie przez „Harmonię“, a mianowicie: Hymn do Helliosa, (słońca) piosnka Seikilosa, hymn do Apolina i hymn do Nemezis (bogini zemsty). Utwory te wykonano podczas antraktów, a publiczność poważnie, w skupieniu wysłuchała pierwotnych, monotonnych, jednostajnych dźwięków, które prostotą, szczerością, a może mocą wspaniałego wspomnienia, wywierały głębokie, uroczyste wrażenie.

Treścią Eurypidesowego „Cyklopa“ jest odyssejski myt, wyśpiewany w epopei bohatera z pod Troi, Odysseusa,, który wracając do Itaki, błąkał się z woli zagniewanych bogów. W literaturze stał się Odyssej pierwowzorem wszystkich bohaterów rycerskich i romantycznych powieści, którzy pokonawszy nieprzezwyciężone przeszkody i moce, zdobywają nareszcie cel swoich dążeń. Odysseus z towarzyszami, zabłąkał się na odludną wyspę zamieszkaną przez wielkoluda cyklopa Polifana i złośliwych satyrów.

Cyklop postanawia Odysseusa z towarzyszami zjeść. Atoli sprytny Odyseus podstępem ratuje się z matni. Oto winem, darem boskiego Bachusa, którego na skalnej wyspie nieznano, opaja jednookiego olbrzyma, a gdy ten w sen zapada, wypala mu jedyne oko w czole. Cyklop oślepiony nie może znaleść swoich ofiar, kładzie się więc u wejścia do jaskini, aby mieszkających schwytać. Ale i na to znalazł sposób obrotny Odysseus, ukrywszy siebie i każdego ze swych towarzyszy pod brzuchy wychodzących na paszę baranów Cyklopa. Na odpływający okręt Greków miota ślepy Polifen olbrzymiemi skałami napróżno.

Ta sk[illegible] treść ubrana w dyalog we wspaniałem tłó[illegible]wicza, przeplatana chórami satyrów, s[illegible]ego Silena, ojca satyrów z Cyklopem [illegible]ami, sceną upicia się Cyklopa, więziła uwag[illegible]ów i słuchaczy.

Co do wykonawców, cyklop Polifen wybił się na pierwszy plan, obok niego Silenos i kilku satyrów.

Komedya Arystofanesa „Rycerze“ jest satyrą na demagogię. W dwóch częściach w jaskrawej barwie, która oczywiście dla współczesnych musiała mieć nadzwyczajną aktualność, przedstawia autor zabiegi dwóch gburów: masarza i garbarza o względy ludu, upostaciowanego w osobie siwego starca. Względy tego ludu zyskują ubiegający się o jego łaski, pochlebstwem, kłamstwem, jadłem, napojem, przesadnemi obietnicami uciech, rozkoszy, wygód, których dotrzymanie nie w ludzkiej mocy. Ale lud, Demos, chciwy tych pochlebstw i obietnic, chętnie ich słucha i przechyla się ku temu, kto ma więcej i na pozór prawdopodobniej obiecuje. Temu oddaje władzę, a wybraniec nadużywa jej zaraz dla swej własnej korzyści, dopóki go inny konkurent od względów ludu nie odsunie.

Wykonanie sceniczne tej komedyi było jeszcze poprawniejsze niż „Cyklopa“. Wśród wykonawców odznaczyli się: garbarz, masarz, lud ateński (Demos) i przewodnik chóru.

Oby młodzież nasza nie ustała w zapale i części dała nam sposobność do patrzenia na największe dzieła ludzkiego ducha. Sił jest dosyć, mogą nam więc dać nawet „Uwięzionego Prometeusza“, nie mówiąc już o tragedyach królewskich Sofoklesa. Sądzę, że miejscem tych przedstawień powinno być, oczywiście w porze cieplejszej, za budowanie cyrkowe, gdzie jest amfiteatr. Fundusze na potrzebne adoptacye do tego celu znalazłyby się z pewnością: i rada miejska i instytucye finansowe w Krakowie i publiczność chętnie pospieszą z datkami, aby mieć bodaj przez krótki czas przypomnienie greckiego teatru. I publiczności dla tych widowisk nie zabrakłoby nigdy. Byłyby to piękniejsze i godniejsze wieczory, niż grube, na niskie instynkty tylko działające, przedstawienia cyrkowe i walki siłaczy..

* * *

W ubiegłą sobotę wystawiono w teatrze krakowskim nową sztukę A. Nowaczyńskiego „Jegomość pan Rej w Babinie“. Jestto właściwie szereg obrazów, barwnych, żywych, groteskowych, budzących echa dalekich czasów. Celem autora było, mojem zdaniem, nie napisanie sztuki scenicznej w ścisłem znaczeniu, jeno ujęcie w tę najodpowiedniejszą do popularyzowania formę, jaką jest teatr, mało znanych i odnawianych wspomnień wielkiej i pięknej postaci Reja z Nagłowic, pierwszego Polaka, który po polsku rymował. Cel ten osiągnął autor w zupełności, a skrzętną pracą i siłą świeżego swego talentu zwycięsko pokonał trudności, które napotykał, o ile chciał się ustrzedz swobody literackiej a zachować wiernie swój program: przemawiania o ile możności słowami samego Reja.

W szeregu scen bardzo żywych, wśród dowcipów, okrzyków, pieśni, muzyki, przybywa pan Rej do Babina, prawi swoje wesołe przypowieści i dykteryjki ku wszystkich uciesze. O kilku anachronizmach, które zabłąkały się do sztuki, można zapomnieć.

Wykonanie sztuki, jak sądzę, nie wypadło po myśl autora. Pan Zelwerowicz, jak zawsze niezrównany, stworzył przecież tym razem postać za mięką i za bladą, p. Słubicka od początku uderzyła we fałszywy ton i stanowiła aż do końca sztuki przykry i jaskrawy dyssonans. Jedynie stylową a w grotesce przecież wytworną była p. Wysocka, a najcharakterystyczniejsze postaci dali nam p. Jednowski, jako hetman babiński i p. Walewski, jako Filip z Konopi — w Babinie. *wl...*

Kącik humorystyczny.

Frak i surdut.

Czasem ironia zawartą bywa
W zwykłym napozór trafie.
Raz frak balowy znalazł się razem
Z zniszczonym surdutem — w szafie.

Swego sąsiada zmierzywszy z góry.
W takie go słowa ofuknie:
„Nie mogę pojąć, czemu mnie kładą
Pomiędzy tak proste suknie.

Nie wiem, za jakie winy czy grzechy
Zadana taka pokuta,
Że się łokciami ocierać muszę
O łokcie dziada — surduta!“

Frak w karnawale był w poważaniu
A stary surdut w pogardzie —
Surdut się znalazł — na plecach pana,
A frak — o! hańbo! — w lombardzie!

Krk...

Choinkowe gościńce.

Warszawa, 21 grudnia.

Nie tak to łatwo w obecnych warunkach o temat „gwiazdkowy“ dla „numeru gwiazdkowego“ Święta zapowiadają się smutno, tak jak smutnym jest dzień wczesnej wiosny, gdy go mgła spowija, a tarczę słońca ukryją śniegowe chmury. Widać je zaledwie przez szkło mleczne... W mgłach jesteśmy. Promienie słońca takie nikłe, takie „niezdecydowane“ jeszcze!

Trudno śmiać się, bo i humoru niema, brak także materyału odpowiedniego. Chciałbym jednak choćby na „gwiazdkę“ nie uderzać w minorowe tony, być innym, weselszym, lepszym niż — rzeczywistość. Tradycyjnym zwyczajem, święta Bożego Narodzenia to dnie ogólnej miłości i szczęścia, to dnie wypoczynku i ciszy, dobrego humoru i choinkowych gościńców.

Gościńców! — Mam ich wszakże cały zapas dla Warszawy i warszawskich mieszkańców. Zbierałem skrzętnie, jako człek przezorny, przez rok ubiegły.

Janie, Kasiu, Franiu! zapalcie choinkę... i drzwi otwórzcie na oścież. Niech wchodzą kolejno obdarowani, wielcy i mali, zarozumiali i skromni, światli i głupi (ostrożnie, bo się podusicie!), ciekawi i nie ciekawi, politycy i blagierzy, nadludzie i nieludzie, bohaterki i naiwne, malarze, dziennikarze, kataryniarze, mydlarze, mocarze...

Hola, dość, bo gościńców nie starczy... a czasy ciężkie, kupować nie będę.

Panie mają pierwszeństwo... Panowie, proszę usunąć się na chwilę.

Warszawskim grafomankom, które tak nielitościwie znęcają się nad sekretarzami redakcyi, tworząc jedną z „plag“ żywota gazeciarskiego, składam na gwiazdkę każdej z osobna tysiączne wydanie „365 obiadów“ dawniej za 75 kopiejek (obecnie za pięć zł tych) układu ś. p. Ćwierciakiewiczowej. Restauracye w Warszawie co raz gorzej i drożej karmią, kucharki lada dzień grożą strejkiem, gościniec przeto nabiera „aktualnej“ wartości.

Artystkom teatrów warszawskich chciałem ofiarować każdej po jednym całym z krytyków teatralnych, aby zabezpieczoną miały „wielkość“, ale cóż, kiedy krytyków jest za mało, artystek zaś za dużo. Proponuję rozczłonkować recenzentów (tylko ostrożnie!) tak, aby każda z pań mogła wybrać sobie to co lubi i coby chciała posiadać na własność.

Fałszywe zęby, farbowane wąsy, przylepiane tupety i inne rzeczy martwe (jak łysina naprz.) przy podziale nie liczą się.

Pannom na wydaniu wręczam pięknie oprawne egzemplarze głośnej powieści Very „Jedna za wszystkie“, pannom zaś nie na wydaniu, które seryo życie pojmują, obiecuję głosować za równouprawnieniem wyborczem; tym, co wolą kamienice lub pałacyki w Konstancinie służę adresami właścicieli, łaknącymi domy swoje posprzedawać każdej chwili. Według zapewnień jednego z dzienników, posiadaczy takich jest tylu, ile domów prywatnych w Warszawie. Ceny niżej kosztów!

Wszystkim żonom — bilet wolnego wejścia 5 razy na dobę do magazynów Hersego z prawem oglądania wszystkiego i nic nie kupienia.

Winciarkom warszawskim — gabinetowe fotografie do wyboru Lubowskiego, Zalewskiego, Hertza, Barcewicza, Michałowskiego, Gasińskiego i innych, jako doskonałych partnerów do wista z „gwoździem“.

Prezesowi i wiceprezesowi teatrów warszawskich na pamiątkę pobytu ich w naszym grodzie ofiarowuję meble stylowe zakupione przez jednego z poprzedników za 5000 rb., kandelabry drogocenne, lornetki (a jakże!) oraz tabliczki pomysłu p. Spiryna. Wielkiego kłopotu z przewozem nie będą mieli. Z mebli zostało jedno krzesło złamane, z kandelabrów — wspomnienia, lornetki zabiorą wierzyciele, a co do tabliczek, to te jako wyłącznie w rosyjskim języku pisane, przydadzą się niewątpliwie więcej w Kałudze niż w Warszawie.

Lekarzom warszawskim na gwiazdkę — prawdziwego bakcylusa cholery azyatyckiej, zakonserwowanego w specyalnym słoiku.

Wielu sądownikom i prawnikom — przepis niezawodny na solidarność i odwagę czynu z dobrą radą nie wtrącania nosa tam, gdzie nie należy. Koncepistom ich i pomocnikom — ofiarowuję ustawę o związkach zawodowych.

Wyścigom warszawskim — nowy i niezawodny środek „dropingowania“ publiczności, wynaleziony przez amerykańskich mistrzów jazdy Sloana i Trisby'ego. Skutek niezawodny Zamiast półmiliona obrotów w totalizatorze, cały milion!

Lichwiarzom życzę zatwierdzenia ustawy o „wolności lichwy“, lombardom jaknajwięcej klientek na wzór i podobieństwo p. Kaweckiej i jej brylantowego motyla.

Lupanarom warszawskim śliczny prezent niosę: oryginalnej roboty portrety bar. Nolkena w chwili podpisywania „obwieszczenia“ o nietykalności osobistej alfonsów i tych pań! Portrety powinny być zawieszone na widocznem miejscu. Tak, aby każdy przychodzień wiedział, że mamy w Warszawie nietykalność osobistą!

Lubicz.

Kronika krakowska.

(Co św. Mikołaj przyniósł Krakowowi? — Nasze zapatrywania. — Radca Federowicz i św. Mikołaj. — Co mamy w Krakowie. — Będziemy wielkiem miastem. — Socyalistyczny Kraków. — Końska policya a radca Federowicz. — *Utinam falsus vates sim!* — Czyszczenie miasta a policya. — Żądania stróżów kamienicznych. — Co ja bym radził p. Leowi? — Strejk stróżów — Lepszy pokój, jak wojna. — Z tamtej strony Wisły — Uchwała podgórskiej rady miejskiej. — Dlaczego Podgórze nie chce się przyłączyć do Krakowa? — Śpiący Kraków. — Będzie karnawał, czy nie będzie? — *Sclavi saltantes.*)

Święty Mikołaj, obdarowując w dzień swoich imienin wszystkich ludzi, nie zapomiał naturalnie i o naszym sławetnym grodzie, któremu miłą zgotował niespodziankę. Na świętego Mikołaja bowiem doniosło namiestnictwo prezydyum miasta Krakowa o mającem wkrótce wejść w życie wprowadzeniu w Krakowie konnej policyi.

Jak zwykle u nas odezwały się zaraz po ogłoszeniu tej tak ważnej dla Krakowa wiadomości, w pismach codziennych dosyć ostre zdania, krytykujące zaciekle ten podarunek rządu i świętego Mikołaja. My przyjmujemy go z uznaniem.

Trzymamy się mianowicie starego przysłowia polskiego: „darowanemu koniowi nie zaglądaj w zęby“ i „bierz Kuba, co Bóg daje“. Święty Mikołaj wie przecie, kogo ma czem obdarzyć; podobno nawet przedtem odbył dłuższą naradę z radcą miejskim p. Federowiczem i opierając się na jego znajomości naszych stosunków, przyszedł do przekonania, że Kraków koniecznie potrzebuje konnej policyi, aby nareszcie mógł mieć zupełnie wielkomiejski wygląd.

Zgadzamy się w zupełności ze zdaniem p. Federowicza i św. Mikołaja.

Mamy w Krakowie mnóstwo rzeczy, których inne stolice nie mają, a którychby nam wszystkie zazdrościły, gdyby ich mieszkańcy byli tacy, jak Krakowianie. Mamy wspaniałe *pisoir'y* w Sukiennicach, rozsiewające po dwóch stronach rynku odurzające wonie, mamy tanie jatki z drogiem mięsem, marne oświetlenie, wspaniałą sadzawkę na plantach, a w niej przepyszną fontannę bez wody, przyjechał teraz cyrk, zapowiadający senzacyjne zapasy między rzeźnikami z Piasków wielkich, a weterynarzem miejskim p. Pappe'em (nagroda zwycięzcy: patent na weterynarza w Tuchowie) mamy wspaniałe zabytki, walące się w gruzy, mamy hr. Tarnowskiego i p. Daszyńskiego — zaprawdę, mamy tyle rzeczy, że szkoda czasu na ich wyliczanie, a nie byliśmy dotychczas wielkiem miastem. Prawda, mieliśmy nawet końskie kasyno i w pewnej instytucyi miejskiej, same końskie łby, ale nie mieliśmy końskiej policyi. I bylibyśmy na nią długo



„WILJA“.

SYLWETKI WIGILIJNE

napisał Konstanty Krumłowski.

I.

Ponad Betlejem miasteczkiem ubogiem
Promienna gwiazda na niebiosach wschodzi,
Niby przymierza znak pomiędzy Bogiem
A światem brnącym wśród grzechów powodzi.
Gwiazda zarówno dla każdego świeci,
Bo wszyscy Boga jedynego dzieci!
I ciągną tłumy do świętego miasta,
Co wywyższone ponad miasta judzkie,
Bo w niem zrodziła Przeczysta Niewiasta
Boga, co zmoże nieprawości ludzkie!
A aniołowie ponad tłumem płyną
Śpiewając: „Witaj nam, święta Dziecino!“

Ale nie wszyscy wierzą w przepowiednię,
[illegible]szyscy w Boga zrodzonego wierzą —
Tylko pasterze, przyodziani biednie,
Zgarbieni pracą, smutni i wybladli
Odkupiciela najpierwsi odgadli.
Nie zbałamucą ich ani zniechęcą
Bluźniercze słowa fałszywych proroków,
Czekają cudu — i z wiarą dziecięcą
Wierzą w spełnienie odwiecznych wyroków:
Z weselem w sercu pospiesza tłum szary
Przyszłemu Zbawcy złożyć skromne dary.

Nie byli jednak wcale między niemi
Możni tyrani, ani dumni władce,
Ni wielkorządcy, ni panowie ziemi,
Aby hołd złożyć Dziecięciu i Matce,
Bo do pałacu wezwał ich na rady
Król Herod, z gniewu i wściekłości [illegible]
„Do mnie tu! — [illegible] wasale!
Do mnie uczeni mo[illegible]
Co znaczą ludu [illegible]
Co znaczy gwia[illegible] błękity?!
Żali to znaki, że [illegible] nad pany,
Mam moje berło i mój tron zachwiany?“
— „Królu! — zawołał najstarszy wróżbita —
Gwiazda na niebie — to znak niepowszedni!
Przed ciemną żadna przyszłość nie jest skryta:
Wedle ksiąg judzkich świętej przepowiedni,
Już policzone twe dnie i godziny!
W Betlejem zrodzon Bóg i Król Jedyny!“
— „Cóż mam uczynić? — krzyknął król w rozpaczy —
Kto wie ratunek — władcy swemu doradź!“
Odrzekł mag starszy: „Wyślij swych siepaczy
I bez litości każ im wymordować,
Którzy tej nocy zrodzeni płci męskiej;
Tak ujdziesz, królu, upadku i klęski!“
I krwawy wyrok podpisuje Herod —
Tem dopełniony jego win ostatek.
I popłynęła krew niewinnych sierot
Dzisiejszej nocy wydartych z łon matek,
Lecz Święte Dziecię z nieśmiertelną chwałą
Za wolą Boga — uszło z rzezi cało...

I krwią spłynęła ta kraina Judzka,
W której zajaśniał świt wolności doby — —
Pochód wolności zaznacza krew ludzka,
Zwęglone zgliszcza i otwarte groby!...
Ty odrodzenie niesiesz krwawa łuno!
Trony tyranów — siłą rzeczy runą!...

II.

— „Jędrzeju! Światło już zapalić trzeba
I starszą panią poproś od pacierzy,
Bo gwiazdka Boża wyszła już na Nieba
I czas zasiadać do świętej wieczerzy!“ —
Rzekł stary, patrząc w zamarzłe okienko,
Które przed chwilą obtarł z szronu ręką,
Miarowym krokiem przeszedł wzdłuż komnaty,
Stanął — i siwą na pierś zwiesił głowę:
— „Święta wigilia — taka jak przed laty,
A jednak inna, niźli w czasy owe...
Pomknęły lata jak z wichrem i burzą

...kali, gdyby św. Mikołaj nie był w przeddzień swoich imienin wstąpił do p. radcy Federowicza.

Prawdopodobnie świętemu Mikołajowi również należy podziękować, że sprawa końskiej policyi weszła stosunkowo tak szybko przed forum Rady ojców Krakowa. I ktoby się był spodziewał, że w Krakowie, tym starym, pobożnym Krakowie, w tym Rzymie polskim, znajdą się ludzie, którzy podarek rządowy i św. Mikołaja ośmielą się obryzgać jadem złośliwej krytyki. A jednak tak się stało.

Ostatnie posiedzenie Rady miejskiej okazało dopiero, że Kraków jest miastem okropnie radykalnem, strasznie socyalistycznem. Znaleźli się radni, którzy wyśmiewali się wprost z zaprowadzenia konnej policyi, ba, byli nawet tacy, którzy wręcz oświadczyli, że konnej policyi potrzebuje Kraków do... chrzanu.

Zapomnieli sławetni ojcowie miasta, że wszelka władza z księżycem czy bez księżyca, piesza czy konna, pochodzi od Boga, albo przynajmniej od jakiego niebieskiego funkcyonaryusza — w tym wypadku od św. Mikołaja — i że postanowień władzy krytykować się nie godzi.

Radny Federowicz oświadczył się ...ralnie za końską policyą. Wprowadzenie jej uważał za potrzebne choćby z tego względu, że w Krakowie stanowczo potrzeba więcej siły, mającej pilnować mienia i życia Krakowian. Zaznaczył jednakże, że stanowczo sprzeciwia się temu, aby — przytaczamy dosłownie — „końska policya miała się przyczyniać do uświetniania manifestacyi socyalistycznych“.

Miły Boże! P. Federowicz powiedział to zapewne bardzo szczerze, ale pozwalamy sobie wątpić, czy tego zdania będzie jeszcze za parę miesięcy. D...siaj czasy szybko się zmieniają, rewolucya ...syjska wprawiła maszynerye życia społecznego ...szybkie tempo, ludzie nawet tak się zmie... o trwałości przekonań jednostki mowy ...może.

...am falsus vates sim!“ — ale zdaje mi się, ...ę już, jak w dzień pierwszego maja 1906 ...a czele pochodu „niedorostków socyalisty...“, jak pisze „Czas“, jedzie wspaniała ban... końskiej policyi, a obok p. Federowicz uwija ...buławą w ręku jako „mistrz ceremonii“. ...tko to być może“ — jak powiada śp. Kra...

...esymista z „Nowej Reformy“ z niechęcią ...wdzie, ale ostatecznie zgodził się na wprowadzenie końskiej policyi, ale domagał się, by ...a zajęła się także czystością w mieście. Bardzo słusznie. Któż może utrzymać w mieście większą czystość, jak nie końska policya?

Ostatecznie uchwalono zgodzić się na wprowadzenie „końskich policyantów“.

Jakby w myśl wniosku radnego Konopińskiego, zjawiła się u prezydenta miasta w kilka dni później deputacya stróżów kamienicznych, z żądaniem bardzo stanowczem aby wywożenie popiołu i śmieci z kamienic odbywało się kosztem miasta. P. Leo przyrzekł — jest to człowiek bardzo dobry i nikomu niczego nigdy nie odmawia — że zajmie się tą sprawą.

I powie kto może, że końska policya nie będzie w Krakowie potrzebna? Ot, jabym p. Leowi poradził, ażeby rzeczywiście spełnił żądania stróżów i do wywożenia śmieci z kamienic przeznaczył końską policyę. Będzie to oryginalnie i rzeczywiście po wielkomiejsku. Już nie będziemy widzieć stróżów, ciągnących jak konie wozy ze śmieciami, ale policyantów na koniach i wózki ciągnione przez prawdziwe konie. Będzie to naturalnie szło znacznie szybciej jak teraz i — stróże kamieniczni będą zaspokojeni. A teraz musimy się ich bać, bo nuż pewnego dnia zastrejkują? Ładnieby wtedy wyglądali radcy miejscy, którzyby po dziesiątej wieczór nie mogli wejść do swoich własnych kamienic! Dobrze by było, gdyby się pp. radcy nad tem zastanowili. Zawszeć to przecie: dobra wojna, ale pokój lepszy, choćby ze stróżami.

W chwili, gdy z tej strony Wisły, w Krakowie, nie mieliśmy w ubiegłym tygodniu żadnej sprawy ważniejszej, z wyjątkiem tej, o której wyżej tak szeroko i długo pisałem, „z tamtej strony Wisły“ działy się rzeczy znacznie większej wagi, znacznie więcej obchodzące całe społeczeństwo. Nie mówię tu o Warszawie, ani o Królestwie Polskiem wogóle, nie; przechodzę tylko z Krakowa przez Kaźmierz do Podgórza, małej stosunkowo mieściny, która przez ten czas o wiele poważniej myślała.

Na ostatniem posiedzeniu podgórskiej Rady miejskiej uchwalono dla uczczenia roku, w którym Wawel przeszedł na własność narodu, zakupić wartościowe dzieło sztuki i ofiarować je Muzeum narodowemu w Krakowie. Myśl, zaiste, piękna, uchwała godna uznania, tembardziej, że Kraków, dla którego oddanie Wawelu narodowi miało szczególniejsze znaczenie, nie miał nawet, jak o tem poprzednio pisałem, pachołków do strzeżenia bram wawelskich i pałacu królewskiego. Podgórzanie znaleźli pieniądze na szlachetne uczczenie tej pamiętnej chwili, myśmy nawet na pachołków nie mieli pieniędzy.

I dziwią się teraz, że Podgórze nie chce się przyłączyć do Krakowa! Naturalnie; Podgórze jest miastem patryotycznem, prawdopodobnie dlatego, że leży „z tamtej strony Wisły“; umie cenić narodowe pamiątki i dbać o nie. Podgórze ma pieniądze, my nie; ogółem Podgórze gra wobec Krakowa rolę panka, a my, potulne narzędzie w ręku p. Lea i rządu, nawet pomimo posiadania konnej policyi nie możemy tej mieścinie zaimponować. Prawdę powiedziawszy, nie mamy czem.

Poruszyłem tę sprawę umyślnie, aby zadokumentować raz jeszcze, że „coś się popsuło w grodzie Jagiellonów“, który obecnie śpi spokojnie, jak na różach, odurzony wielkością, którą weń wszyscy wmawiają. A należałoby się przecież raz zbudzić!

I zbudzi się Kraków, jestem przekonany, ale dopiero za kilka dni, po Bożem Narodzeniu, jak się zacznie karnawał. Wtedy stolica Polski odżyje! Wprawdzie mówią tu i ówdzie, że w tym roku wobec strasznej sytuacyi w Królestwie Polskiem nie będziemy mieli w Krakowie zabaw publicznych, ale to są głosy puszczyków, z którymi liczyć się nie potrzebujemy. Bo i dlaczego nie mielibyśmy się bawić? Czy nam to źle? U nas się krew nie leje, u nas nie aresztują za byleco, siedzimy tutaj w Austryi, jak u Pana Boga za piecem. Królestwo przecież otrzymało konstytucyę i samo sobie winno, że tam krew płynie dalej. Ale u nas nie słychać świstu nahajek i trzasku karabinów kozackich, pas graniczny jest za szeroki — czemużbyśmy się nie mieli bawić! Owszem, będzie karnawał, będziemy tańczyli, będziemy grali, wszakże „Honor Poloniae żyje w nas“ — jak powiedział poeta.

Myśmy się już wyzuli z krępaków szowinizmu, myśmy zrzucili z siebie więzy niemocy, jakie na nas wkładał potryotyzm, myśmy przecie niczem innem, tylko c.k. austryackimi poddanymi. Bawmy się więc! „*Sclavus saltans*“ to przecie zawsze widok godny bogów. Cała Polska, cały świat będzie na nas patrzył ze zdumieniem! Bośmy już tylko „*sclavi saltantes*“. *J. R.*



A z niemi także poszło razem dużo
Łez wypłakanych — krwi wylanej przy tem...
Wierzyli starzy, łudzili się młodzi,
Że ponad krajem w ciemną noc spowitym
Gwiazda — jak owa Betleemska wschodzi!
Że z nią i Polska wśród pienia aniołów
W krwi odrodzona — powstanie z popiołów!
Lecz wbrew nadziejom i serc przepowiedni
Nie zaświeciła nam zbawienna gwiazda!
Wielu zginęło — a poszli niejedni
Jak ptaki burzą wypędzone z gniazda,
Gdy w pień rodzinny piorun z nieba palnie:
Na chleb katorżny w uralskie kopalnie!

I nie znalazłeś wioski ani domu,
...ziel... żałoby nie było za progiem,
... było płakać pokryjomu,
...i rozpacz ukrywać przed wrogiem,
...o łza w pojęciu moskiewskich siepaczy,
...o, co bunt przeciw „cesarzowi“ znaczy!“

...I ból się wyrył na twarzy wybladłej,
...Dwie łzy mu zwisły pod spuszczoną rzęsą
... jak dwie perły na piersi opadły.
...lko w półszepcie wargi mu się trzęsą:
...jczyzna, Wolność i Wiara jedyna
...m Polakiem—i ja miałem syna!“

...ę otwarły i staruszki postać
...o cichu i stanęła przy nim:
...ałeś *o nim?*... Nie chciał z nami zostać!
...z mój mężu! Najlepiej uczynim,
Gdy go opiece zlecimy Niebieskiej!“
I sama dłonią starła własne łezki.

A anioł Boży, który w wieczór Święty
Schodzi z Niebiosów do ludzi na ziemi,
Pozbierał łzy te niby dyamenty
I hen! na północ gdzieś uleciał z niemi
I złożył czyste te klejnoty żalu,
Przed konającym młodzieńcem w Uralu!...

III.

Hen, na przedmieściu, nad Wisełką szarą,
Jest mały domek czysto pobi lany.
Ludzie tam żyją miłością i wiarą,
A anioł Boży ukochał te ściany.
Wzrasta tam w pracy pokolenie młode...
Pozwólcie, że ja Was tam dziś zawiodę.

Obszerna izba posprzątana świeżo —
Ubogi komfort mieszczańskiego stanu
I jej mieszkańcy odświętną odzieżą
Świadczą, że dzień ten poświęcony Panu.
Dziś się tu cała zebrała familia,
Bo dzisiaj święto uroczyste: *Wilia!*...
Stół zastawiony na środku w izdebce,
Czystym obrusem na sianie przykryty,
Dokoła stołu starsza imość drepce
I znosi pracy swojej plan obfity:
Ryby, pierogi, placki i orzechy,
Dla dziatwy przedmiot pożądań, uciechy...
Dziatwa stanęła w milczącym podziwie
Z zachwytem w oczach i otwartą buzią,
Każde spogląda na stół pożądliwie
Zosia i Mania i najmłodszy Józio,
Lecz nic nie rusza z polecenia matki,
...błyśni... opłatki.
...dzieci

Kawałek nieba przez szyby okienka,
Aż w głos krzyknęły: „Gwiazda! gwiazdka świeci!
Najmłodszy dodał: „A jaka maleńka!“
Wtem drzwi otwarły się głośno od sieni.
Dwóch ludzi weszło: Obaj zaśnieżeni —
Starszy zdjął z siebie burkę watowaną,
Z pod której widna mieszczańska czamara,
Drugi nieśmiało przystanął pod ścianą,
I pomięszanie swe ukrył się stara
Starszy zawołał: „Oto gościa macie!“ —
Wziął dłoń przybysza: „Pozwól-no mój bracie!
To mój czeladnik, moja prawa ręka“ —
Tu objaśnienia udzielił rodzinie —
„Była ze Staszka chłopczyna maleńka,
Gdy go przyjąłem do pracy — w terminie.
Dziś go uważam jak z własnej familii.
Sierota — u nas niech będzie na Wilii!“
Potem zawołał: „Dajcież tu opłatki!
To od wiek wieków zwyczajny uświęcony.
No! panie bracie! zaczynaj od matki!“
I ręką wskazał w kierunku swej żony.
Chłopiec całuje w dłoń panią majstrową,
Ale z wzruszenia zamarło mu słowo.

Ile tam było prostych z serca życzeń,
Ile tam świętych wspomnień poruszono,
Nie czas i pora teraz do obliczeń.
Każdy miał w życiu taką chwilę pono — —
A po spożyciu opłatków pospołu
Usiedli wszyscy do wspólnego stołu.
Co tam jedzono — dokładnie nie pomnę,
Ale zoczyłbyś śledząc poprzez szyby
I barszcz z uszkami i placki ogromne.
Tłuste pierogi i wyborne ryby,
Że terminator zwyczajnym porządkiem
Wstał z wdzięcznem ...cem i pełnym żołądkiem
Dopieroż kiedy z...
Skoro i na nie...

Aleksander Heinemann.

Dzielnego śpiewaka tego poznała krakowska publiczność w minionym sezonie, a poznała go w warunkach więcej jak niekorzystnych. Znakomity artysta, przeziębiwszy się w drodze do Krakowa, nabawił się silnej influenzy, która podczas słotnych wówczas dni wystąpiła w bardzo ostrej formie. Po kilku dniach spoczynku i kuracyi, mimo częściowego tylko powrotu do zdrowia, zdecydował się wybitny ten artysta odśpiewać swój koncert. Przeproszono publiczność za niedyspozycyę śpiewaka.

Na estradę wstąpił średniego wzrostu mężczyzna o filigranowym wyglądzie. Nie obiecywano sobie wiele z takiego śpiewaka. Lecz w miarę rozwijania się koncertu, w miarę przybywających oklasków, ożywiał się śpiewak, rosnąc niem i na równi z swym głosem w oczach zdumionej publiczności — nad którą wreszcie niepodzielnie zapanował — każąc się oklaskiwać nie zwykłemi oklaskami — lecz tym szczerym i żywiołowym entuzyazmem, jakim umie krakowska publiczność nagradzać tych artystów, którzy oprócz wielkiej i czystej sztuki dają jej coś więcej z estrady — dają umiłowanie piękna — zapał — natchnienie — dają.. duszę. Sala „Sokoła“ drżała od oklasków rozentuzyazmowanej publiczności, która żądaniem natarczywem naddatków formalnie zamęczała koncertanta, dość hojnego wobec tak gorącego i tak czującego audytoryum. Heinemann stał się odrazu naszym ulubieńcem niemal takim samym, jak... Burmester, bo podbił nas temi samemi, co i Burmester środkami – a to istotnie olbrzymią muzykalnością, talentem wyjątkowym — szczerością w wypowiadaniu się — tem bezpretensyonalnem wzięciem się wobec publiczności, tem czemś, co tak ułatwia, a raczej co powoduje nawiązanie silnego węzła sympatyi między publicznością a artystą i wreszcie brakiem wszelkiej blagierskiej pozy.

Jako śpiewak, jest Heinemann istotnie postacią wyjątkową, zarówno ze względu na rozległą skalę, sięgającą od regestrów basowych do wyżyn, dostępnych dobrze rozwiniętym tenorom, — jako też ze względu na olbrzymią muzykalność, ujawniającą się w wyrazie i w przepysznej, iście mistrzowskiej deklamacyi. Za te przymioty jest nie tylko u nas, lecz i w całej środkowej Europie ulubieńcem najinteligentniejszych smakoszów muzycznych, nic dziwnego też, że zapowiedź występu znakomitego śpiewaka przyjęto w kołach melomanów, a szczególniej śpiewaków krakowskich z prawdziwą radością.

Karyerę koncertową rozpoczął Heinemann występując pod pseudonimem „Ludwik Tieck“ przybranym dla tego, iż miał przypadkowe szczęście ujrzeć światło dzienne w Berlinie w tym samym pokoju, a nawet w tym samym dniu, w którem ujrzał je o sto lat wcześniej słynny poeta niemiecki Ludwik Tieck. — Rodzice przeznaczyli go do stanu kupieckiego. Z planu nauk przyszłego



Aleksander Heinemann.

rycerza łokcia i wagi, którego oddano do szkoły w Ascherleben, usunięto naukę muzyki. Na silne i ciągłe prośby — pozwolono mu wreszcie uczyć się trochę gry skrzypcowej.

„Stadtmusicus“ w Ascherleben, nie był jedpak taki sobie przeciętny niemiecki rzępoła, lecz muzyk „jak się patrzy“... Widząc niepospolity talent w młodym Heinemannie, zabrał się szczerze do pracy i dał mu tak gruntowne początki i zasady wiedzy muzycznej, iż prawie zdecydował o jego przyszłem prawdziwem powołaniu.

Niezwykle uzdolniony młodzian wrócił po kilkuletniej nauce do Berlina. Tu zajął się nim dyrektor Friedmann Baruch, a nadto także i doskonała śpiewaczka berlińska Jenny Mayer (dyrektorka konserwatoryum Homa) Nauka nie trwała niestety długo. Heinemann, nabawiwszy się reumatyzmu jeszcze w szkole w Ascherleben zapadł ponownie na zdrowiu i przerwał studya wokalne prawie na lat trzy. Po wyzdrowieniu studyował jeszcze jakiś czas u Adolfa Schulzego, poczem w roku 1897 wystąpił po raz pierwszy w berlińskiej „Singakademie“.

Przyjęty życzliwie przez publiczność i krytykę, rozpoczął karyerę jako śpiewak estradowy. Przed pięciu laty objął klasę mistrzów (tę samą, w której niegdyś pobierał naukę śpiewu u J. Mayer) w słynnem konserwatoryum Sterna w Berlinie i na tem stanowisku pozostaje do dnia dzisiejszego. W chwilach wolnych od pracy robi wycieczki po całej środkowej Europie i Anglii — przyjmowany życzliwie, z wielką sympatyą, na którą — zarówno talentem tudzież i umiłowaniem sztuki, jakoteż osobistemi przymiotami umysłu i serca — rzetelnie sobie zasłużył. — *urs.* —

Kącik humorystyczny.

Kot i Jowisz.

— Jakże mi kocia dola obrzydła!
Ze łzami w oczach biadał kot bury,
Cóż mi przyniosło
Moje rzemiosło?
Ciągle szpieguję myszy i szczury
I zakazane wycieram kąty!
Gdyby natura dała mi skrzydła,
Zarazbym leciał — leciał bez końca
W te horyzonty
Hen! hen! do słońca!...
Słyszał te skargi dobry bóg Jowisz
I rzekł: „Gdy myszy niechętnie łowisz
Tęskniąc do słońca – tęskniąc do lotu –
Ja cię wybawię z twego kłopotu!“
I — dobrowolnie — dał skrzydła kotu.
I kot niebawem wzbił się do góry
Z tryumfu krzykiem —
Wtem pod śmietnikiem
Posłyszał nagle pisk z mysiej dziury
I wkrótce potem
Już pod śmietnikiem był kot z powrotem.

Nerwowy lis.

Stary lis — łotr wszędzie znany,
Zmykał rano z kniei chyłkiem
I do lasu sąsiedniego
Wpadł ostatnim nóg wysiłkiem.
„Gdzie tak pędzisz? — koń go spyta
Pewnie jakaś ważna sprawa?“
— Ech! nie! głupstwo! — lis odrzekł
Ma na wilka być obława!“
„Gdy na wilka, to cóż waści
To obchodzi w rezultacie?“
A lis na to: „Tę historyę
Wnet objaśnię panie bracie!
Ja przywykłem do spokoju
W głębi rodzinnego lasu,
A wiesz, ile polowanie
Sprawia zgiełku i hałasu!
Denerwują mnie szczególniej
Psy myśliwych hałaśliwe!...“
Lecz koń zarżał ironicznie
I z pogardą otrząsł grzywę
I rzekł: „Zmykaj, pókiś cały,
Znam cię dobrze, stary szujo!
Nie szczekanie psów, lecz zęby...
Zęby ich cię denerwują!... *Krk.*

Jak oto: „Niechaj tedy zabrzmi wszędy!“
„Wczora z wieczora, z Niebieskiego dwora!„
Mięszał się z basem dzieci głosik świeży
W kolendzie: „W żłobie leży — któż pobieży?„
A w trakcie śpiewu zajął stołu środek
Olbrzymi gąsior niezgłębionej treści;
Był to świętalny staropolski miodek,
Który w piwnicy drzemał lat trzydzieści.
Miód dobry napój — pana majstra zdaniem,
Lecz go zażywać trza z umiarkowaniem.

Ojciec zegarek wyjął z kamizelki
(Była to duża srebrzona „cebula“)
„No! moje dzieci! już na nas czas wielki
Powitać świata Najwyższego Króla!
Wstawajmy tedy od jadła i stoła,
Czas na Pasterkę — czas nam do kościoła!“

Szczęśliwi ludzie — zdala zgiełku świata,
Błogosławieni ubodzy i prości!
Do nich najchętniej z wyżyn Niebios wzlata
Anioł pokoju i Bożej miłości!
Dla nich jest wiara życiem i potrzebą,
A wiara stwarza już na ziemi niebo!

IV.

W mroku ... drzemie,
... się,

Właśnie godzina bije jedenasta,
Pora spoczynku i snu dla *dwornika,*)*
Gdy zaułkami do Starego Miasta
Ostrożnie jakiś człowiek się przemyka.
Chwiejny krok, rozpacz widnieje z pod powiek,
Rzekłbyś doprawdy: jakiś cień, nie człowiek.
Do jednej bramy dopełzł pokryjomu
I ręką szarpnął dzwonek niecierpliwie. —
W bramie wnet głowę ukazał stróż domu:
— „To pan nie w domu?“ — zrobił spostrzeżenie.
— „Nie“ — burknął przybysz — miałem zatrudnienie!“
I wbiegł pospiesznie na zakrętne schody,
Źle oświecone przez brudną latarnię.
Człowiek, jak widać, był jeszcze dość młody,
Ale zbiedzony i ubrany marnie;
Zatrzymał kroki, gdzie jest piętro czwarte
I wszedł cichaczem w jedne drzwi otwarte.
— „To ty, Karolu? — spytał głos kobiecy
I jakaś postać powstała z barłogu —
Zaczekaj chwilę — wnet poszukam świecy —
Wróciłeś przecie! Chwała Panu Bogu!
Pozamykane dawno wszystkie bramy,
Gdzieżeś to bywał?... My tu tak czekamy!
„Gdziem był—to mniejsza, lecz z złą wiadomością
Dzisiaj. niestety! do domu przychodzę!“ —
I tupnął z jakąś bezsilną wściekłością,
Aż kurz ... udnej ...
— „M... ... iel!“
On ...

Mówił mi o tem jeden rewirowy
Polak, choć chodzi w moskiewskim mundurze!“
Żona przerwała: „Nie gub własnej głowy!
Ciszej!“ — „Nie! — krzyknął — głośno to powtórzę,
Pod bagnetami poszli ciemnej nocy,
Ulegli zdradzie, ulegli przemocy!“

— „Co z nami będzie? — kobieta spyta...
Strajk trwa wciąż jeszcze i roboty niem...
— „W tem nasza przyszłość i otucha ...
I potrząsł groźnie rękami obiema. —
Robotnik tylko prawa te wywalczy,
Które mu zabrał wróg ludu padalczy!“
— „Ale co dalej? — pyta żona z trwog...
Z czego żyć dalej? — wszystko wyczerp...
— „Chociaż się rzeczy już zmienić nie...
Trudno! — mąż rzecze — ja z tobą ...
A jeśli los mi taki przeznaczony,
Los ten podziele przy boku mej żon...

A wtem z ulicy zabrzmiał chór o...
„Krew naszą długo leją nasze ka...
Lecz Bóg to widzi ludu tr roboc...
I przyjdzie wreszcie dla nas dzie...
Robotnik ... rzyknął, aż zabrzmi ...
— „To nasza przyszłość, Bóg zł...

LUDWIK STAŚIAK.

OMBOLA.

HUMORESKA.

(Ciąg dalszy).

zaprawdę dziwnego zbiegu okoliczno- drugi dzień po imieninach baronowej n, były urodziny hrabiny Szablewskiej, ameistein. Baronowa, która długi czas patrzyła, siadła nagle przy biurku i na- Moja najdroższa siostro! Życząc ci dzenia, ofiaruję ci w dzisiejszym omite dzieło naszego Cynobrowi- ał to dzieło odrodzeniem“. Co było iały się rzeczy niesłychane. W ośmiu z zmienił ośm razy właściciela. Hra- owała go sąsiadce, ta prezesowi, prezes u baronowi, ten znowu jakiejś hrabinie. Wre- otrzymała go od hrabiny nasza pani mar- kowa.

* * *

Zdziwiony byłem, że pani marszałkowa weszła mego mieszkania wieczorem. Opanowałem je- k moje wielkie zdziwienie i mówię:

— Pani marszałkowa! Jakże się cieszę!

Marszałkowa była blada, oczy jej były jak łne, wachlarz latał w rękach jak szalony.

— Przyszłam do pana...

— Pozwól mi pani przedewszystkiem podzięko- ć za iście królewski dar. Serwis srebrny, który m pani ofiarować raczyłaś, będzie ozdobą tom- i, a nasze małe miasto jest zaprawdę hojnością ni poruszone...

— To nic, drogi panie, to nic — mówi nieprzy- nie zdenerwowana pani marszałkowa. — Wła- ie przyszłam w sprawie tomboli. Chcę wam do- ć fant znacznie cenniejszy. Wysłałam go fur- nką. Już idzie. Jestto znakomity obraz. Książę owski zapłacił za niego dwa tysiące. „Słowo“ szawskie nazwało ten obraz „renesansem“. tałem zdumiony i olśniony.

pani chciałabyś tak drogą rzecz...

rszałkowej trzęsły się, jak we febrze. Z przyjemnością oddaję wam na tombolę. Weźcie sobie. Nie potrzebujecie panowie się krę- pować. Obraz mię nic nie kosztuje. Dziś są wła- śnie moje imieniny, dostałam go w prezencie. Że zaś już obrazy w pokojach mam...

— Przebacz mi pani pytanie... Może się mylę, ale... Czyżby pani marszałkowa na zdrowiu szwan- kowała?

— O tak. Jestem ciężko chora.

— Co pani brakuje?! — zawołałem przerażony.

— Nic, już nic — mówiła nerwowo. — Widzi ...o... Imieniny przynoszą tyle wzruszeń... I dziś rano, gdym otrzymała wspaniały dar, który „Dzien- nik Polski“ nazwał „nowem światłem“...

— Ten obraz?

— Jedzie już furmanką. No, dobranoc!

— Przepraszam panią marszałkową. Mały inte- es, a raczej mała prośba. Otóż dziś przyszły z dru- karni bilety na tombole. Ja znam szlachetny spo- sób myślenia pani, wiem o sercu pełnem filantropii.

— Ofiarujesz mi pan bilety?

— Te... tak... Możeby pani była tak łaskawą...

— Ależ i owszem. Po czemu bilety?

— Po koronie.

— Proszę pięćdziesiąt biletów.

Wyliczyłem natychmiast, wręczyłem je marszał- wej i schowałem pieniądze do stolika.

Marszałkowa pożegnała się ze mną, idzie do zwi, nagle stanęła, myśli, wraca do mnie zmie- ona i blada. Drżącą ręką kładzie na stół bilety.

— Ja nie chcę biletów.

— Nie chce pani?! Ależ takie piękne fanty!

— Nie chcę!

— Zatem... Pieniądze zwrócić?

— Nie zwracaj pan.

— A więc może grać imieniem pani?

— Nie graj pan.

Wytrzeszczyłem na kobietę oczy.

— Ależ moja pani! Wygrane przecie! Jest bronzowa szkatuła, jest obraz Cynobrowicza, który jak czytałem, „Kuryer Lwowski“ nazwał wska- ...em...

. . . .

wieziono do mnie nazajutrz wieczo- złamał koło w drodze i musiał kowal... Pobiegłem roz- ... Na wieść, że ar- ...zło, przyleciał d...

— Jest nareszcie, jest — mówił radośnie wi- ceprezes.

— Wszak to wspaniałe arcydzieło — rzekł se- kretarz wydziału — „Gazeta lwowska“ nazwała je progiem epoki.

Postawiłem obraz na kanapie, wieńcem otoczy- liśmy go wszyscy.

— Hm... Hm...

— Jak?

— Co właściwie ten obraz przedstawia?

— Jaki obraz? Przecie ja tu nie widzę ża- dnego obrazu.

— A cóż widzisz?

— Farby rozmazane na płótnie.

— Ależ boście wy postawili obraz do góry no- gami.

— Oczywiście, że do góry nogami.

Odwróciłem obraz inaczej, pokazało się jednak że w nowej pozycyi trudniej jeszcze rozpoznać się na płótnie. Skutkiem czego znowu obrót...

— Tytuł jego jest „Dźwięk“.

— No dobrze, ... cóż przedstawia?

— Mówię ci przecie, że przedstawia dźwięk.

— Widzę teraz szczegóły. Trzeba się tylko wpatrzeć. Śmierć namalowana koścista. Ten trup okropny koroną ma na głowie. Dlaczegóż on taki straszny?

— Okropny zaiste!

— Co ta śmierć w rękach trzyma?

— Ogórek.

— Ale, gdzieżby śmierć ogórek w rękach trzy- mała. To będzie albo łódź albo księżyc.

— Zgłupiałeś?! Jakże ktoś może w rękach trzy- mać księżyc?!

— Ogórek jest na pewne.

— Patrzcie. Obok śmierci niewiasta jakaś. Nie- wiasta ma rybie oczy. Pół kobiety, a pół karpia.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Z półek księgarskich.

Bolesław Raczyński: Kolendy. Zbiorek ten 19 ko- lend jest suitą piosnek kolendowych o tekstach zaczerpnię- tych z kantyczek (a skorrygowanych zdaje się przez Wy- spiańskiego). Melodye kolend. są częściowo oryginalnie skom- ponowane w charakterze ludowym, częścią zaś są zgrabnemi waryantami kolend dawniejszych. Dziełko jest reminiscencyą z pobytu autora na wsi podczas świąt Bożego narodzenia. — Gromadka ludu ciągnie na pasterkę do... Betlejem, i przy- śpiewuje po drodze. — Zawodzą więc śwarne dziewuchy i baby (tak nazwał autor soprany i alty) na tle hukań pa- robków i chłopów (zamiast tenorów i basów) którzy usiłują naśladować basy — Po tej dwudziestotaktownej przedśpiewce następuje siedm kolend, pod ogólnym tytułem: w Betlejem. Kompania przyśpiewuje i Jasnej Panience i Jezuskowi. Opo- wiadają o „bydełku co się najadło i posnęło“ — nucą ko- łysankę (Lulajże Jezuniu) itd. Rzewną melodyą zaznacza się nader korzystnie kolenda czwarta i gdyby nie tekst za nadto naiwny, znaleśćby się mogła w repertuarze każdego chóru szkolnego.

Liczba kolend i porządek tychże wskazują także, iż au- tor chciał w zbiorku tym mieć (po odrzuceniu kolend z pierwszej „Do Betlejem“ i ostatniej „Powrót) także mszę pastoralną i tak: kolendę pierwszą można użyć na Kyrie, — drugą na Gloria itd. — Suitę kończy ośmiotaktowa śpiewka dla trzech strofek jako „Powrót z Pasterki“ — Na ogół ce- chuje całą suitę solidna i porządna robota, harmoniczna nie błąkająca się po ścieżynach i przesmykach tonalnych w go- nitwie za niezwykłością pomysłów, któremi chciałby autor zadziwić i olśnić. — Kolendy które zaliczyćby można do tzw. pastorałek, a którym życzę aby znalazły chętnych i licznych wykonawców, wyszły nakładem księgarni Krzy- żanowskiego w eleganckiem wydaniu, ozdobionym piękny trójbarwnie odbitym rysunkiem Wyspiańskiego. *—urs.—*

Bolesław Wallek-Walewski: Tren V Jana Kocha- nowskiego do śpiewu z towarzyszeniem fortepianu. S. A. Krzy- żanowski. Kor. 1 20. — Sympatycznie znany i ceniony w mu- zykalnych sferach krakowskich, utalentowany młody muzyk p. Walewski, występuje z piosnką tą po raz pierwszy jako kompozytor. — Piosnka oryginalnie pomyślana, posiada wiele cech szczerego liryzmu i łatwości w snuciu melodyi, opartej na zgrabnym i w robocie nieprzesadnym akompaniamencie — a świadczącej wyróżniająco o talencie obiecującego muzyka. Zgrabnie wydaną piosnkę zdobi stylowa karta tytułowa utworu M. Dąbrowskiego. *—urs.—*

Rozwiązania z Nru 50.

Szarada.

Ka-pi-ta-lis-ta.

Logogryf.

Małż
autentyczny
szmaragd
obywatelstwo
władysław
amfiteatr
rinaldo
złotowłos...
eu...
źli...

Arytmogryf.

							J							
						S	**ó**	l						
					S	y	**z**	y	f					
				p	r	z	**e**	p	i	s				
			J	ó	z	e	**f**	i	J	a	n			
		P	a	w	l	i	**K**	o	w	s	k	i		
	D	n	i	e	s	t	**r**	i	S	k	a	w	a	
J	**ó**	**z**	**e**	**f**	**K**	**r**	**a**	**s**	**z**	**e**	**w**	**s**	**k**	**i**
	l	a	k	i	n	a	**s**	t	u	r	c	y	a	
		p	r	a	w	o	**z**	n	a	w	c	a		
			K	r	ó	l	**e**	w	i	e	c			
				S	ł	a	**w**	u	t	a				
					a	r	**s**	e	n					
						a	**k**	t						
							i							

Józef Kraszewski.

Dobre rozwiązanie nadesłali Pp: Jan Reczyński, Józef Czaczka Rzeszów, Józef Duszyński Niepołomice, Drozdowski Denysów, A Góralski Uhryń, W. Łabuch Jordanów, Czytelnia „Sokoła“ Myślenice, Stefania Bernacka Kraków, Helena Mo- krzycka Turbia, Rudolf Żabka Biała, Helena Bednarska Kra- ków, Marya Serafin Rzeszotary, Joanna Bazylewicz Jaktorów, Augustyna Willner Bieniawa, E. Schechtel Żabno, Janina Ramoszyńska Borysław, Helena Zielińska Manajów, Jan Sa- rama Milówka, Gustaw Krasuski Winniki, Biegoń Ślemień, K. Traczewski Hinowice, K. Czupnik Wadowice, Aniela Hu- zarowa Byczkowce, J. Pasieka Łuka mała, K. Zukiewicz Rohatyn, Antoni Tuczyński Grodzisko, Bronisław Kazik Rze- szów, M. R. z Ł., II Oddział Tow. „Jedność“ Łazy, Jan Ba- dura Rożdzień, M. Gumułka Siedliska, Stan. Dobrzyniecki Stanisławów, H. Dydacka Żurawno, Tadeuszowa Wasiewi- czowa Baranów, W. Barański Radłowice, Jan Kowal Dem- bica, Karolina Weinar Przemyśl, Adolf Janowski Bóbrka, K. Chodkiewicz Zbydniów, Urząd pocztowy Starzawa, Zofia Ciechanowska Stary Sambor, St. Gajdeczka Zapałów, Helena Ulrych Malin, Abonent z Dług, Marya Górska Jabłonów, A. Konopka Rzeszów, Włodzimierz Giżowski Krynica. Wła- dysław Kokosz Rzeszów, Michał Pachucki Waksmund, Anna Zimer Mikulińce, E. Bogdalska Koropuż, Karol Ludwig Bo- rysław, Kasyno polskie Żurawno, Stanisław Wybranowski Kimirz, Dr Dolnicki Stryj, Tow. Sokół“ Horodenka, Józef Scheffel Lwów, Adolf Dudziński Czortków, Stefan Bąkowski Kraków, Elżbieta Görlich Kraków, Jan Zaucha Kocmyrzów, I. Rosenstock Kraków, Stadnik Grabiny, Gizela Fuchsbalg Lwów, Stan. Szwabowicz Żurawno, Kuszpeciński Kraków, Stefania Uderska Kraków, A. Żralski Podgórze, Aleksander Bocsoń Bóbrka, Barbara Deskur Lwów, B. Ramułtowa Je- żów, Władysławowie Nowiccy Wiśnicz, Wanda Madeyówna Rzeszów, Kazimierz Jurkiewicz Tłumacz, Olga Górkowa Chyrów, Marya Ochocka Kalinowszczyzna, Remiszewski Za- ławie, Emilia Füllerówna Rzeszów, Feliks Śiisz Lubenia, Adam Rydel Kraków, Helena Doening Schodnica, Walery Wierzbicki Czarny Dunajec, Józefowie Nowiccy Sokal, Lu- dwig Kocyan Maków, Albin Starczewski Ottynia, Mieczysław Różański Gorlice, Kamiański Sokal, S. Samueli Limanowa M. Opolska Czarny Dunajec, Helcia Bobelak Stanisławów, O. Niedziałkowski Kraków, Wiktorya Chrząszczowa Kraków, Marya Arbesbauer Lwów, Władysław Czerkawski Polina, Marya Cetera Dubiecko, S. Serafimowicz Stanisławów, Kasyno Rozwadów, Jadwiga Rodakowska Kulików, Antonina Listo- wska Płuchowczyk, Józef Zehnwirth Klimkówka, St Bassara Niwiska, Jarosław Habermann Mikulińce, A. Mussil Lwów, Karol Fischer Krosno, Tadeusz Domain Sanok, Maryan Zoell- ner Rozwadów, Franc. Sławiński Wierzchosławice, Adam Sanetra Załoźce, Jan Zawiślak Wiśniowczyk, Lidya Świeża- wska Gładyszów, Ludwik Fortuna Kęty, Karol Fuchs Pecze- niżyn, K. Chłopicka Zawałów, Marya Bossowska Bistoszowa, Helena Leligdowicz Fraga. M. K. Księgarnia Krzyżanowskiego Kraków, M. Mirkowski Uhnów, Wanda Pisiewiczowa Śnia- tyn, St. Mroczkowski Kowalowa, Zula Kwoczyńska Sanok, Julia Malik Bolechów, Stefan Zabierzewski Ulanów, Eugenia Bia- sion Kraków, Tow. „Zgoda“ Krosno, A. Pukalski Andrychów, Joanna Boguniewicz Bludniki, Piotr Smaga Śniatyn, Igna- cya Wybranowska Czupernosów, Marya Wyczółkowska Zie- lona, Antonina Pietrzycka Bołechów, Zofia Glazerówna So- kolniki, Kazimierz Wojdyło Węgierka, Marya Zintel Brody, Amalia Knopfówna Lwów, Zbigniew Ehrenberg Kraków, Franciszek Josefert Kraków, Włodzimierz Karatnicki Wo- rochta, Fr. Kalita Gawłuszowice, St. Łaszkiewicz Słotwina. St. Karłowicz Lwów, Ks. J. Markiewicz Kolbuszowa, Jakób Hnatiuk Trzcinica, Józef Kobylański Honiatycze, Ludwik Marszczak Jezierzany, Fryderyk Zipser Lwów. Michał Bi- liński Iwanków, St. Kozłowski Lubaczów, L. Janiec Buczacz, E. Łapiński Podbuż obok Sambora, I. Pancewicz Porchowa, J. Skotnicki Kraków, K. Jasiński, W. Stanula Samocice, Wł. Haldziński Lichwin, St. Bursa Kosów, J. Sobotnicki Lwów.

Nagrodę przez losowanie, otrzymała pani Lidya Świe- żawska w Gładyszowie. Prosimy o nadesłanie 72 hal. na koszta przesyłki.

WIELKA SZARADA DO NAGRODY.

Szanownym Czytelnikom dajemy do dyspozycyi **sześć** liter, za pomocą których utworzyć można **sto** rozmaitych wyrazów. Jeżeli owe litery oznaczymy licz[illegible] i liczby te jak poniżej zestawiać będziemy, to otrzymamy rozmaite wyrazy, których znaczenia obok podajemy:

1) **1 2 3 4 5 6**
2) 3 2 3 2 3 wołanie leśnego ptaka
3) 3 5 6 3 część ciała
4) 3 6 5 bryła lodu
5) 4 5 6 5 1 terrorysta francuski
6) 3 5 1 oprawca
7) 6 2 6 5 część pieca
8) 6 2 4 tyle co 5 6 5 3
9) 5 6 3 5 okręt biblijny
10) 1 5 4 5 środek ochronny
11) 1 2 4 kościół
12) 3 5 4 5 rzeka w Syberyi
13) 4 2 6 rzeka w Austryi
14) 6 5 4 5 oprawa
15) 4 6 2 3 tetryk
16) 5 1 5 3 napad
17) 4 5 6 1 5 imię kobiety
18) 1 6 5 3 tyle co 1 5 6 1 5 3
19) 5 6 5 6 5 1 szczyt w Azyi
20) 1 5 6 1 5 3 motor mechaniczny
21) 5 3 6 miara
22) 1 6 5 4 gruba belka
23) 1 5 3 1 stosowne postępowanie
24) 1 5 6 3 5 sprzęt kuchenny
25) 4 5 6 5 złudzenie
26) 3 6 5 4 5 6 3 5 handlarka
27) 5 3 1 urzędowy papier
28) 3 2 6 1 3 5 część ubrania
29) 4 5 1 termin szachowy
30) 4 2 6 5 1 jenerał Francyi
31) 3 5 6 1 3 5 część książki
32) 3 5 1 5 6 5 3 1 5 choroba ócz
33) 3 6 2 3 ptak
34) 6 2 4 5 3 szlachetny koń
35) 3 2 6 1 5 część ubrania
36) 5 4 5 6 5 imię kobiece
37) 4 5 3 5 6 1 słynny malarz
38) 1 2 6 zwierz
39) 5 4 2 6 rzeka w Azyi
40) 6 5 4 5 miasto biblijne
41) 1 5 4 1 5 4 instrument indyjski
42) 3 2 4 ojciec chrzestny
43) 4 5 1 3 5 rodzicielka
44) 5 6 4 5 1 5 broń ognista
45) 1 5 1 5 6 3 5 ziele
46) 3 5 4 6 5 1 towarzysz
47) 1 2 6 3 5 miasto w Galicyi
48) 3 5 6 5 6 5 prowincya włoska
49) 5 6 5 3 tyle co 6 2 4
50) 3 6 5 3 postać historyczna
51) 1 6 5 1 1 5 rodzaj wekslu
52) 4 2 6 przedmiot ochronny
53) 1 6 2 1 3 5 środek zabójczy
54) 3 5 1 5 6 lekka choroba
55) 1 5 1 5 6 5 3 ziele
56) 3 5 1 5 6 5 3 1 5 wodospad
57) 1 5 1 5 6 mieszkaniec wschodu
58) 1 6 5 3 1 5 1 układ
59) 4 2 3 1 5 6 imię tureckie
60) 1 5 4 1 5 zaimek wskazujący
61) 3 5 6 4 pożywienie
62) 4 5 6 3 5 znaczek
63) 3 2 6 } ojciec
64) 3 2 6 5 } matka
65) 3 2 6 5 3 } syn
66) 3 2 6 3 5 } córka
67) 6 5 1 5 część
68) 3 5 6 5 1 miara
69) 1 6 5 3 1 droga rządowa
70) 1 2 1 5 ziele
71) 3 2 6 1 imię męskie
72) 4 5 2 6 najeźdźca Hiszpanii
73) 1 2 1 3 5 skręcony papier
74) 4 5 4 3 5 żywicielka
75) 5 5 6 rzeka w Austryi
76) 6 5 3 skorupiak
77) 6 5 2 1 zabawa
78) 3 2 4 5 matka chrzestna
79) 1 5 2 6 część Alp
80) 3 6 5 3 5 2 święte mi[illegible]
81) 3 6 5 1 5 środek och[illegible]
82) 1 5 6 5 wyrażenie [illegible]
83) 4 5 3 roślinka
84) 2 4 rozum (dawne wy[illegible]
85) 1 5 zaimek
86) 4 6 2 4 6 2 ani...
87) 1 2 4 5 3 zw[illegible]
88) 2 1 6 5 1 5 [illegible]
89) 4 6 5 3 tru[illegible] dowem
90) 5 2 6 5 pogo[illegible]
91) 1 5 1 5 ojciec
92) 3 5 6 2 3 prep[illegible]a[illegible]
93) 3 5 6 1 5 rzecz do [illegible]
94) 4 5 1 3 5 środek chroniący [illegible] naśladownictwem
95) 5 1 2 kozera
96) 5 6 1 2 6 imię męskie
97) 4 5 3 5 1 wyrób tkacki
98) 3 6 5 4 sklepik
99) 1 5 1 5 6 3 5 mieszkanka Ws[illegible]
100) 3 5 6 5 nieprzyjemna rzecz

Rozwiązanie powyższej szarady polega na wynalezieniu tych sześciu liter 1 2 3 4 5 6, które jak wiadomo w ten sposób zestawione, tworzą imię słynnego bohatera.

Redakcya „Nowości Illustrowanych“ za rozwiązanie tej szarady przeznacza 10 nagród wartości 1000 koron, a mianowicie:

I. NAGRODA: Wspaniały Kinematograf z 9-ciu filmami **wartości 600 koron.**
II. NAGRODA: Srebrna cukiernica wartości 120 koron.
III. NAGRODA: Akwarela Kruszewskiego w eleganckich ramach, obraz formatu 1 metr X 80 cm., **wartości 80 koron.**
IV. NAGRODA: Przybory do pisania na biurko z chińskiego srebra, **wartości 70 koron.**
V. NAGRODA: Zegarek srebrny remontoir, wartości 40 koron.
VI. NAGRODA: Symfonion z 12 walcami, wartości 30 koron.
VII. NAGRODA: Srebrna papierośnica, wartości 30 koron.
VIII. NAGRODA: Pudełko (100 sztuk) **cygar „Trabuco“ wartości 16 koron.**
IX. NAGRODA: Wspaniała bombonierka z czekoladkami, wartości 12 koron.
X. NAGRODA: Wilhelm II czyli **„Tajemnice Dworu Berlińskiego“**, sensacyjna powieść w 2 tomach oprawnych, **wartości 7 koron.**

Czytelnicy, ubiegający się o powyższe nagrody, muszą się zastosować do następujących warunków:

1) Rozwiązanie **„Szarady“** powinno być nadesłane **w dostatecznie ofrankowanym liście, najpóźniej** do dnia **13 stycznia 1906 r.**, pod adresem: Redakcya „Now[illegible] Illustrowanych“ Kraków Zacisze 7 I. p

2) Rozwiązanie można posłać tylko na jednym z poniżej podanych 4 kuponów, który należy wyciąć i wszystkie 4 rubryki starannie wypełnić.

3) Do jednej kowerty mogą być włożone 4 kupony od czterech rozmaitych osób, lecz co najmniej **jedna z nich musi być abonentem „Nowości Illustrow[illegible] i prenumerować pismo nasze wprost w Centralnej Administracyi: Kraków Zacisze 7.** (z wyjątkiem prenumeratorów w Królestwie Polskiem, do których się [illegible] warunek nie odnosi).

Przyznanie nagród.

Redakcya „Nowości Illustrowanych“ chcąc z góry wykluczyć wszelką partyjność, oświadcza niniejszem, że przyznanie nagród odbędzie się w następu[illegible] spo[illegible]:

W numerze 3-cim „Nowości Illustrowanych“ z dnia 20 stycznia 1906 ogłoszone będą nazwiska tych wszystkich osób, które nadesłały trafne rozwiązanie, przy ścisł[illegible] zac[illegible]waniu trzech powyżej podanych warunków.

Do nazwiska każdej z tych osób dodany będzie numer od 1 do 90, a ciągnienie liczbowej loteryi **wiedeńskiej** w dniu 27 go stycznia 1906, rozstrzygnie o pr[illegible]znan[illegible] pierwszych 5-ciu nagród, ciągnienie zaś loteryi **lwowskiej** z dnia 3 lutego 1906, dalszych 5 nagród, w ten sposób, że na osobę ogłoszoną pod pierwszym wyciągniętym numerem prz[illegible]padnie **pierwsza** nagroda, pod drugim **druga** i t. d.

Ponieważ w ciągnieniach powyższych loteryi są tylko liczby od 1—90, nazwiska nadsyłających podzielone będą **na serye**. Każda osoba obok numeru zaliczoną będ[illegible]ie [illegible] jakiejś seryi, a ciągnienie loteryi **tryesteńskiej** w dniu 24 stycznia i **berneńskiej** z 31 stycznia 1906 wylosuje serye.

Nadmieniamy w końcu, że osoby, rozwiązanie nadsyłające, nie mogą sobie dowolnej seryi i numeru wybierać, pod jakiemi chcą być umieszczone, tylko redakcya „Nowo[illegible] Illustrowanych“ nazwiska ich wraz z podaniem seryi i numeru w tym porządku umieści, podług którego listy z rozwiązaniem nadchodziły.

„Nowości Illustrowane“ Nr. 52.

I. Kupon do rozwiązania szarady.

Znaczenie cyfr 1 2 3 4 5 6: ....

Imię i nazwisko rozwiązującego: ....

Miejsce zamieszkania (dokładny adres): ....

Ostatnia poczta: ....

„Nowości Illustrowane“ Nr. 52.

III. Kupon do rozwiązania szarady.

Znaczenie cyfr 1 2 3 4 5 6: ....

Imię i nazwisko rozwiązującego: ....

Miejsce zamieszkania (dokładny adres): ....

Ostatnia poczta: ....

„Nowości Illustrowane“ Nr. 52.

II. Kupon do rozwiązania szarady.

Znaczenie cyfr 1 2 3 4 5 6: ....

Imię i nazwisko rozwiązującego: ....

Miejsce zamieszkania (dokładny adres): ....

Ostatnia poczta: ....

„Nowości Illustrowane“ Nr. 52.

IV. Kupon do rozwiązania szarady.

Znaczenie cyfr 1 2 3 4 5 6: ....

Imię i nazwisko rozwiązującego: ....

Miejsce zamieszkania (dokładny adres): ....

Ostatnia poczta: ....

Nawet najwybredniejszych smakoszy potrafią zadowolnić Tutki cygaretowe

FRAM

z watą „Salvesol-Noris".

Bibułka zrobiona jest z najdelikatniejszych włókien liści morwowych, więc nic dziwnego, że pali się lekko i równo, a dym jest łagodny i chłodny. Własności te podwyższa jeszcze umieszczona w ustniku **„Wata Salvesol".** Nadaje się do tytoni lekkich, mniej do średnio-mocnych — wskutek swego nader delikatnego włókna roślinnego. — Każdy palący tytoń, chcąc uniknąć zatrucia **nikotyną,** powinien palić tylko w cygarniczkach szklanych z watą „Salvesol".

Oryginalny pakiecik »Waty Salvesol« wystarcza na 200—400 papierosów lub cygar.

1000 sztuk Tutek „Fram" 3 K.
10 Cygarniczek 1 K. 20 hal.
Pakiecik Waty „Salvesol" 30 lub 60 hal.

Zakład przemysłowy wyrobów pap. „Noris".
Mr. W. BEŁDOWSKI, Kraków, 2.

Szkodliwość nikotyny usunięta!

Zastosowanie wiedzy w życiu praktycznem wydało już niejednokrotnie zdumiewające rezultaty, przyniosło wiele pożytku ogółowi. Dziś higiena święci prawie na każdym kroku tryumfy, zrozumiałem więc jest, że i fabrykacya **tutek cygaretowych** — czyni postępy w tym kierunku, lecz nie wszędzie i nie zawsze z dodatnim rezultatem.

Moje wieloletnie próby, upodstawnione nauką i fachowem doświadczeniem, uwieńczone zostały ostatnimi czasy zdumiewającym skutkiem. Udało mi się bowiem dojść drogą badań do preparatu, znanego już dziś prawie wszędzie, pod nazwą:

„SALVESOL".

Jest to **wata chemiczna,** mająca tak wielce pożądaną dla palących papierosy własność, że, by mnie nie posądzono o czczą przechwałkę — odsyłam Sz. Czytelnika do poniżej umieszczonego **uznania,** jakiem raczył mnie zaszczycić Wny Prof. **Dr. A. Mars.**

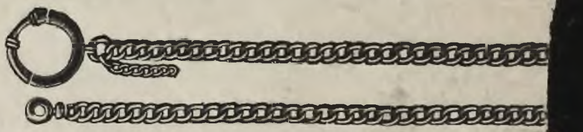
Z przyjemnością donoszę WPanu, że od czasu, jak używam Pańskiej waty **„Salvesol"** w cygarniczkach szklanych, nie doznaję przykrych objawów, które mi dokuczały skutkiem palenia tytoniu. Wobec tego upraszam o nadesłanie mi za pobraniem pocztowem i t. d.

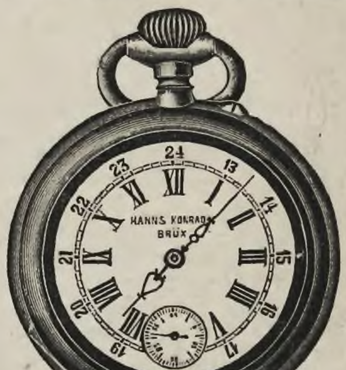
Lwów, 2 maja 1903. Z wysokiem poważaniem
Prof. Dr. Antoni Mars.

Zakład przemysłowy wyrob. pap. „NORIS"
Mr. W. BEŁDOWSKI w Krakowie 3.

Na święto Bożego Narodzenia bardzo odpowiedni podar[unek]

Tanie, stosownie zestawione podarunki dla chłopców na gwi[azdkę]







Nr. 98.
Prawdziwy srebrny zegarek Remontoir, przez c. k. urząd probierczy stemplowej, z białym lub kolor. cyferblatem, ze wsk. zówk. na se[kundy], chodzący bardzo regularnie [me]chanizmem „LUNA", z trzec[ioletnią] pisemną gwarancyą.
Do niego z czystego sreb[ra] wiedni łańcuszek, 30 centi[m.] z kilkiem do zapinania, ze [wspa]nym kompasem, jako wisior[ek] na łańcuszku — wszystko to razem

tylko za 10 koron!

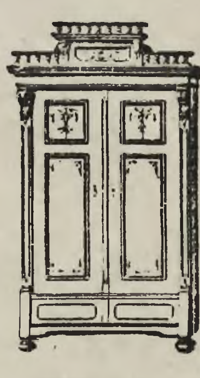
Niema żadnego ryzyka! Zamiana dozwolona, lub zwraca się pieniądze!

Wysyłka za zaliczką lub przesłaniem przez

HANNS KONRAD

Pierwsza Fabryka zegarków w Brüx Nr. [...]
(Czechy).

Bogato illustrowany katalog z przeszło 1000 illustracyami na żą[danie] przesyła się darmo i opłatnie.



KRAJOWA FABRYKA MEBLI STYLOWYCH

Kompletne urządzenia:
sypialnie od 80 złr. do 500 złr.
jadalnie „ 85 „ „ 600 „

Dla wygody P. T. Publiczności także na spłaty, odszpedającym znaczny opust. — Styl barok[o]wy, secesyjny i wszelkie inne. Kompletne salony z [...] mati pokryciami, mahoniowe, urządzenia [...] rowe i kuchenne, krzesła gięte i prawdziwe [...] rzane, meble żelazne i mosiężne wózki dziec[inne] i łóżeczka, pokoje kawalerskie, największy wybó[r] kredensów kuchennych, poleca po cenach najtań[szych] Skład i fabryka mebli stylowych

IGNACY MILWIW, LWÓW
Słoneczna 13 i 15, Pasaż Hermanów.

Najkorzystniejszymi podarkami na **Gwiazdkę** są **SINGERA** maszyny do szycia.

Do nabycia we wszystkich sklepach zaopatrzonych ubocznym szyldem

SINGER Komp. Tow. akc. maszyn do szycia

Kraków, ulica Szpitalna L. 40.

FILIE: **Kraków,** Kazimierz, Wolnica. **Chrzanów,** Mickiewicza. **Tarnów,** Wałowa 15. **Rzeszów,** Trzeciego Maja 5. **Nowy Sącz,** Jagiellońska. **Sanok,** Jagiellońska, ob. Kółka roln.



Cytra gitarowa „Kolumbia".

Bez nauki każdy może natychmiast g[rać], sprowadza swobodny nastrój i w[...] umysł w każdej rodzinie. Cytra gita[rowa] „Kolumbia" jest wielka, posiada 44 str[un], 5 grup akordeonowych; podłożywszy nuty **każdy może grać.** Więcej niż 100.000 już w użyciu. Tylko wprost przez moją firmę do nabycia. Ceny: kompletna wraz ze szkołą i wszelkimi przyborami **K. 11·—**. Nuty po 20 hal. za sztukę. **Cytry akordow[e]** każdej jakości, sztuka K. 3·—, 4·50, 6·—, 7·—, 8·— i wyżej. **Niema ryzyka, gd[yż] wymiana jest niedozwolona lub pieniądze zostają zwrócone.** Przesyłka za pobraniem przez Erzgebirgische Musikwaren-Versandhaus

Hanns Konrad in Brüx Nr. 1493 (Czechy)

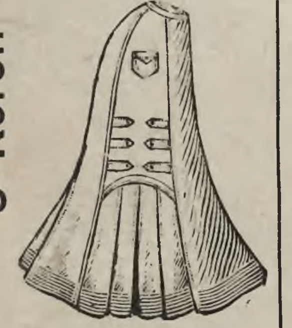
Wielki illustr. katalog z przeszło 1000 odbitek na żądanie każd[emu] darmo i opłatnie.

Na Gwiazdkę

najpiękniejszą niespodziankę stanowi

Modna elegancko leżąca spódnica.

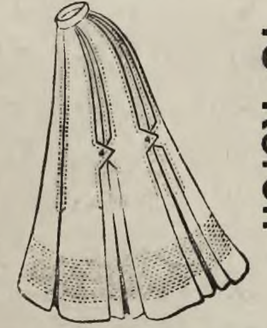
6 Koron



Fason „Paris".

Najmodniejszy, niezwykle efektowny fason, z doborowego Lodenu tyrolskiego i ozdobami ze skóry, w kolorze czarnym, szarym, granatowym lub niebieskim albo wykonana z trwałej angielskiej materyi wzorzystej na wycieczki i do podróży, w kolorze szarym, granatowym i niebieskim. Ta sama spódnica z czarnego „Duchesse-Kamgarnu" Koron 6·50.

10 Koron



Fason „Exquisit".

Znakomicie wykonana, wspaniała i modna spódnica z czarnego lub niebieskiego sukna pierwszej jakości lub z angielsk. wzorzystej materyi ostatniej mody w kolorach: czarnym, granatowym lub oliwkowym. Tasama spódnica z kremowej materyi wełnianej, szewiotu lub czarnego „Peruvien" niezwykle efektowna Kor. 15·—.

Przy zamówieniach wystarczy podać określenie fasonu szerokości obwodu spódnicy u dołu, w biodrach i talii, długość przodu Każde zamówienie wykonanem zostanie według nadesłanej miary. — Zamówienia z prowincyi wykonuje się z szczególną skrupulatnością.

„Zur Schoss-Fabrik" Wiedeń XVI., Neulerchenfelderstr. 2.

Zamiana dozwolona lub wraca pieniądze!

7 koron.



We własnym interesie żądajcie naszego bogato illustrowan. cennika, który wysyłamy darm. i opłatnie.

Nr. 2411 Czarny, stalowy Remon. zegarek z białym lub czarnym cyferblatem, uszko, korona i oprawa ze złota Doublé, bardzo dokładnie chodzący, z mechanizm. „Luna", tylko za

7 koron

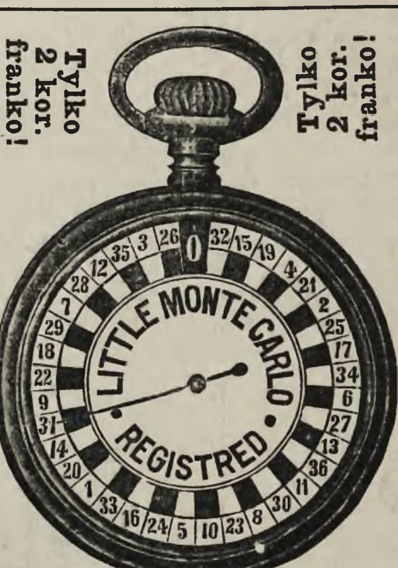
Tensam zegarek z podwójną kopertą tylko **8 koron.**

Do nabycia przez

HANNS KONRAD

Pierwsza fabryka zegarków w Brüx Nr. 1485 (Czechy) c. k. sądownie zaprzysiężony znawca.
Odznaczony c. k. Orłem i wieloma złotymi i srebrn. medalami.

Tylko 2 kor. franko!

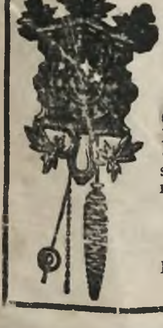


ZEGAREK RULETA KIESZONKO[WY]

Senzacyjna t[...] rzyska zaba[wa]

Zegarek, który[...] dokładną kopią[...] ruletowej w M[onte] Carlo, funkcy[onuje] prawidłowo! C[...] z objaśnieniem i p[...] nem gry w niklo[...] nej kopercie za sz[tu]kę tylko 2 K, 3 sztu[ki] 5 K., w czarnej st[alowej] kopercie, z [...] chomym mechaniz[mem] 4 K.: za po[...] przedniem nad[...] niem należytości [...] ze w markach p[...] dom eksp[or]towy **H. Auer, Wiedeń IX/**, Nussdorferstr. 3/N.

Dobrze idące Szwarcwaldzkie zegary



[o]zdobne, z dobrym werkiem i 3-letnią rękojmią, [m]iałe kościane wskazówki i cyfry, 18 cm. wysoki, kompletny z bronzowanym ciężarkiem, nadzwyczaj tani

tylko koron 2·50

Corocznie wysyłam więcej niż 50.000 zegarków ku najwyższemu zadowoleniu moich P. T. Odbiorców. Poważna ta liczba, która jest jedyną w Austryi, daje najlepszy dowód o solidności mojej firmy. Każde nawet najmniejsze zamówienia uskuteczniam najskrupulatniej. Wysyła za zaliczką

Hanns Konrad Pierwsza fabryka zegarów w Brüx Nr. 1384 (Czechy).

Bogato illustr. cenniki z przeszło 1000 rycinami wysyła się na żądanie bezpłatnie i franko.

Marka ochronna: **„Kotwica"**

Liniment. Capsici comp.,

zastąpienie

Pain-Expelleru,

jest powszechnie znane jako **wyśmienite, bole uśmierzające nacieranie;** do nabycia we wszystkich aptekach po cenie 80 hal., Kr. 1.40 i 2 Kr.

Przy kupnie tego powszechnie ulubionego środka domowego należy przyjmować tylko butelki oryginalne w pudełkach z naszą ochronną marką **„kotwicą",** wtenczas jest pewność, że się otrzymało wyrób oryginalny.

Apteka Dr. Richtera pod „złotym lwem" w Pradze, ulica Elżbiety No. 5 nowy.

Wysyłka codzienna.

Konkurencyjnie najtańszy zegar pendułowy K. 5·80



w orzechowo farbowanej skrzynce, z pięknie rzeźbioną fasadą, idący 20 godzin, z kremowo farbowanym i ozdobnym metalowym cyferbl., z pozłac. wahadłem, 58 cm. długi. z 3-letnią, pisemną gwarancyą **tylko K. 5·80.** Taki sam zegar bijący godziny i półgodziny K. 7·50. Naśladujący głos dzwonów z wieży 8·50. Za paczkę, opakowanie i bezpłatną wysyłkę dolicza się tylko do rachunku 1 K. Corocznie wysyłam przeszło 50·000 sztuk takich zegarów, ku największemu zadowoleniu Szan. Odbior[ców]. To jedyne w Austryi liczba daje najlepsze świadectwo o rzetelności mojej firmy. Ka[żde] nawet najmniejsze zamówienie byw[a] najstaranniej wykonane. Wysyłkę za zali[czką] uskutecznia

HANNS KONRAD
Pierwsza fabryka zegarów w Brüx, N[r.] 1487. (Czechy).

Proszę żądać mojego cennika, któr[y] illustr. przeszło 1000 obrazami [...] wysyła się na żądanie darmo [...]